

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 9 lipca 1950 r.

Nr 27 (241)

Zygmunt Kubiak

DLACZEGO UCZYMY SIĘ TOMIZMU?

„Iluż to ludzi ma się za strażników porządku, a bronią tylko przyzwyczajenia, a czasem nawet zwykłych frazesów o słowach tak wygładzonych, zżartych przez użycie że usprawiedliwiają wszystko, niczego nigdy nie kwestionując“ — mówi Jerzy Bernanos przez usta jednego ze swych bohaterów, fikcyjnego autora „Pamiętnika wiejskiego proboszcza“. Jest to protest przeciwko wielkiej chorobie cywilizacji burżuazyjnej: przeciwko **dewaluacji słowa**. Zmora pustych słów najwyraźniej się zaznaczyła w dziedzinie zagadnień społecznych. Jeżeli hasła: **wolność — równość — braterstwo** w okresie entuzjastycznego uchwalania „Deklaracji praw człowieka i obywatela“ miały jakieś znaczenie, to w świecie, który żył spadkiem ideałów Rewolucji Francuskiej, ideał **wolność** w wielu wypadkach mogło oznaczać wszystko, co tylko kto chciał. Rzecz znamienna, że właśnie pod płaszczykiem **liberalizmu** burżuazja utrzymywała system kapitalistycznego wyzysku.

Ale dewaluacja słowa ma swoje korzenie w problematyce filozoficznej. Wiąże się ona z falą agnostycyzmu i sceptycyzmu w filozofii epoki nowożytnej. S. Świeżawski w swoim „Bycie“ stawia taką diagnozę: „Głównie zainteresowana całej niemal filozofii w dobie po-kantowskiej to teoria poznania; właściwie na niej zaczyna się i kończy filozofowanie... Subiektywizm i indywidualizm dochodzą do najwyższego napięcia, ilu filozofów, tyle systemów i tyle coraz to nowych i silących się na oryginalność pomysłów. Żaden jednak z tych systemów o rdzeniu idealistycznym nie mógł w teorii poznać dojdź do żadnego „stałego ładu“... W myśl założeń Kartezjusza doprowadzonych jeszcze do ostatecznych konsekwencji przez Kanta kontakt poznawczy z rzeczywistością staje się na drodze intelektualnej i racjonalistycznej niemożliwy“.

Filozofia nowożytna ofiarowała nam wiele nowych definicji pojęcia **prawdy**: prawda to zgodność myśli między sobą; prawdziwe jest to co jasne i wyraźne; prawdziwe jest to co skuteczne w praktyce... Są to wszystko różnego rodzaju odstępstwa od starej, jedynej prawdziwie realistycznej definicji tego podstawowego pojęcia, wyrażonej przez scholastyków w formule: *veritas est adaequatio rei et intellectus* (prawda jest to zgodność myśli z rzeczywistością). Takiej właśnie **prawdy człowieka** wi potrzeba, takiej **prawdy** o szałka, innego rodzaju „prawdy“ są szkodliwymi namiastkami.

Odstępstwo od realizmu filozoficznego otwiera wrota dla sceptycyzmu. Sam w sobie sceptycyzm nie jest dowodem dekadencji. Wielkie i żywotne kultury mo-

gą przechodzić przez okres gwałtownego zwątpienia, które czasem jest etapem dojrzwania. Dekadencją natomiast jest odarcie sceptycyzmu z postulatu **szukania** (skeptō po grecku znaczy: **badam, szukam**). Dekadencją jest **spokojna, wyzwolona od tragizmu** zgoda na przeżywanie tego stanu, który określił Pascal słowami: „Nie wiem kto mnie wydał na świat, czym jest świat, czym jestem ja, żyję w okropnej niewiedzy wszystkich rzeczy“. Taki właśnie **spokojny sceptycyzm** zaciążył nad cywilizacją burżuazyjną, zwłaszcza nad jej okresem schyłkowym.

Spokojny sceptycyzm jest typową postawą filisterską. Spokojny sceptyk tak sobie myśli: „Filozoficzna interpretacja świata przekaza mi jako owoc pracy całych wieków jest według wszelkiego prawdopodobieństwa zawieszona w próżni. Ale czy ja mam się tym martwić? Chodzi o to, aby w tym dziwnym świecie jakoś się urządzić. Tradycja obarczyła mnie bagażem czcigodnych pojęć, takich jak: **prawda, osoba, wolność, dobro** itd. Niestety, wiem, że to są tylko słowa. Po co jednak miałbym z nimi walczyć? Niech pozostaną jako wygodny parawan dla różnych treści przynoszonych przez zmienną koniunkturę tego dziwnego świata“. — Oczywiście, podany przez nas schemat jest publicystycznie uproszczony.

Ten typ filisterstwa stoi u podłoża ideologii — trupów, ideologii, które są frazeologiczną fasadą dla systemów społecznych kierujących się swoistą „życiową filozofią“. Filozofia nie mająca nic wspólnego z „naukowymi dogmatami“ Arystotelesa, Tomasza z Akwinu, czy choćby Kartezjusza i Kanta, Mieszczański filister doskonale rozumie, że w jego świecie słowo **wolność** lub słowo **sprawiedliwość** wcale nie musi mieć takiego znaczenia, jakie mu nadała wielka, powszechna tradycja myśli racjonalistycznej.

Bernanos pisze z uznaniem o odwadze rewolucjonistów, którzy dynamitem wysadzają skorupę martwej frazeologii mieszczańskiej. Ruchy społeczne XIX wieku uderzały w ideologię burżuazji demaskując jej „podszewkę klasową“. Jest to przede wszystkim punkt widzenia marksizmu. Marksizm wykazywał, że mieszczańska „wolność“ była tylko nazwą pewnego układu społecznego polegającego na wyzysku większości przez ekonomicznie silną mniejszość. Polemika marksizmu z burżuazją miała od początku charakter wybitnie demaskatorski. Według koncepcji marksistowskiej filozofia jako część nadbudowy kulturalnej jest w swojej treści zdeterminowana przez klasową strukturę społeczeństwa. Dlatego — posiadają marksiści — społeczeń-

stwo bezklasowe i jego obecna awangarda — proletariatus musi przeciwstawić filozofii burżuazyjnej nową filozofię, w której stare słowa otrzymają nareszcie swoją najwłaściwszą i najpełniejszą treść.

Spirytualiści natomiast, nie wierząc w **determinację** „nadbudowy kulturalnej“ przez „baze ekonomiczną“ (choć uznając oczywiście, empiryczny fakt **uwarunkowania** klasowego), nie uważają nowożytnych „herezji“ filozoficznych (idealizm, agnostycyzm) za konieczny wytwór epoki kapitalizmu jako fazy ekonomicznej i nie wierzą w to, żeby sama zmiana układu społecznego mogła wyzwolić ludzkość od błędów filozoficznych. Pozytywna ewolucja społeczna w dużym stopniu ułatwia rozwój „zdrowej myśli“, myśli realistycznej i racjonalistycznej, ale same zasadnicze problemy filozoficzne mają charakter ponadczasowy (choć człowiek myślący o nich jest zawsze osadzony w jakimś układzie społecznym i zależnie od tego układu różnie może do nich docierać). Formuła: *veritas est adaequatio rei et intellectus* ma dziś taką samą wartość jak w epoce św. Tomasza.

Wynika z tego ważna konsekwencja. Musimy pamiętać o groźnych herezjach filozoficznych, w atmosferze których formowała się tamta, ginąca dziś cywilizacja. A z drugiej strony musimy pamiętać o wielkiej tradycji prawdziwego realizmu, prawdziwego racjonalizmu, prawdziwego uniwersalizmu, o tradycji „philosophiae perennis“ — „filozofii wieczystej“, którą my przy wyklisły nazywać „tradycją tomistyczną“ (choć sam Tomasz by ostro przeciw temu protestował).

Dla tomistów np. **wolność** nie jest pustym słowem. Metafizyka tomistyczna opracowała koncepcję **osoby** ludzkiej i dlatego w ramach tego systemu postulat **wolnego rozwoju osoby** ludzkiej ma bardzo określone znaczenie, bardzo mocno osadzone w rzeczywistości. Tylko taki postulat ma prawdziwą moc twórczą. Ludzie walki muszą wiedzieć, o co walczą. Walcząc o sprawiedliwość dla człowieka, o wolność dla człowieka, o lepsze społeczeństwo, — musimy najpierw odpowiedzieć sobie na pytania: **czym jest człowiek? czym jest społeczeństwo? jaki jest cel człowieka? jaki jest cel społeczeństwa?**

II.

Patrząc na te moje, może przydługie, rozważania, myślę sobie: jakim prawem je piszę? — Prawem laika. Piszę nie w imieniu tych, którzy znają tomizm, ale napewno w imieniu tych, którym tomizm jest bardzo potrzebny. Piszę w imieniu wszystkich, któ-

rzy nie mieli jeszcze czasu na porządne studia, a już zostali postawieni wobec doniosłych i trudnych problemów, które kategorycznie domagają się rozstrzygnięć. Piszę w imieniu młodych katolików, którzy chcą być wierni myśli **uniwersalistycznej**, wierni **prawdzie powszechnej**, **prawdzie o człowieku**, i w imię tej **prawdy** brać udział w dokonującej się **przebudowie** społecznej.

Co mnie skłoniło do napisania tych uwag? Piszę pod wrażeniem **radosnego** faktu, że w ostatnich tygodniach otrzymaliśmy „ABC tomizmu“ („Znak“ nr 23) opracowane przez wielkiego uczonego z Fryburga, O. Inocentego Bocheńskiego O. P. Nareszcie mamy prawdziwie przystępne „wprowadzenie“ do studium całej filozofii tomistycznej. Nareszcie mamy wykład filozofii, który umie przemówić do każdego. W oparciu o rozprawę O. Bocheńskiego możemy rozpocząć gruntowne studiowanie tomizmu. To jest prawdziwy podręcznik, — choć autor odżegnuje się od tego określenia.

O. Bocheński przemawia do nas w najbardziej tomistyczny sposób. Ludzie przyzwyczajeni do emocjonalnego stylu „spirytualistycznych“ **essayów**, — mogą się przekonać, jak racjonalnym, jak precyzyjnym językiem przemawia autentyczny tomizm. W zdaniach O. Bocheńskiego wielkie słowa mają swoją pełną i soczystą treść. Posłuchajmy np. rozdziału o **prawdzie**:

„Realizm tomistyczny uczy, że sąd i zdanie są prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy stwierdzają to, co jest, a fałszywe, gdy stwierdzają to co nie jest takie w rzeczywistości, jak to, co one głoszą; że istnieją prawdy bezwzględne i że człowiek może je poznać; że jeśli nasza wiedza jest zawsze częściowa, niepełna, jeśli może zawsze być pogłębiona, uzupełniona i wzbogacona, to nie wynika z tego, by była ona zawsze względna; że samo wyrażenie „prawda względna“ jest nonsensem, gdyż sąd i zdanie są albo prawdziwe, to jest zgodne z rzeczywistością, albo fałszywe, to jest z nią niezgodne — ale nigdy „względnie prawdziwe“; że choć istnieją stopnie fałszu, prawda jest zawsze bezwzględna. Realizm tomistyczny uczy, że człowiek, choć podlega w poznaniu wpływom środowiska społecznego, historii i innych czynników podmiotowych, to jednak nie w tej mierze, by poznanie **prawdy** było mu niedostępne. Tomizm odrzuca więc jako błędne poglądy sceptyków, historycyistów i relatywistów, którzy twierdzą, że każde poznanie (czy nawet „prawda“) jest względne, czyli, co na jedno wychodzi, że **prawda** nie istnieje. Realizm tomistyczny uczy, że samo

sformułowanie tych błędów obala je“.

W takich syntetycznych sformułowaniach O. Bocheński omawia **realizm tomistyczny**, **pluralizm tomistyczny**, **teizm tomistyczny**, **hylemorfizm tomistyczny**, **etykę tomistyczną** i **personalizm tomistyczny**. Są to wszystkie działy tomizmu: nauka o bycie jako przedmiocie poznania, o bycie w ogóle, o bycie nieskończonym, o przyrodzie i człowieku, o postępowaniu człowieka, wreszcie o społeczeństwie ludzkim.

W zakończeniu rozdziałów umieszczone są wnioski. Oto jeden z wniosków po wykładzie hylemorfizmu (tomistyczna nauka o przyrodzie): „Jeśli prawdą jest, że dusza ludzka stanowi jedyną treść substancjalną ciała, człowiek nie jest ani czystym duchem, ani tylko ciałem, ale stanowi jedność czynników materialnych i duchowych, należąc do przyrody i zarazem wyrastając ponad nią. Człowiek nie jest tylko częścią przyrody, ale także czymś więcej niż ona“.

O społeczeństwie ludzkim traktuje **personalizm tomistyczny**: „Personalizm tomistyczny uczy, że społeczeństwo ludzkie, choć nie jest substancją, nie jest jednak fikcją; że społeczeństwo stanowi zespół osób powiązanych między sobą rozlicznymi realnymi relacjami, stosunkami, zależnościami, czyli realnymi przypadłościami; że zatem społeczeństwo ludzkie jest czymś więcej niż sumą jednostek do niego należących, że istnieje wprawdzie tylko w osobach ludzkich, ale niezależnie od poznania i poza ludzką świadomością“. Z drugiej zaś strony: „Personalizm tomistyczny uczy, że celem społeczeństwa jest umożliwienie każdemu z jego członków jak najlepszych warunków życia i rozwoju; że zatem człowiek, osoba ludzka, jest celem społeczeństwa“.

Autor uczynił wszystko, aby jego praca była jak najbardziej komunikatywna. Dlatego w szerokiej komunikacji używa polskiej terminologii scholastycznej, zastępując np. „materię“ i „formę“ (terminy tak bardzo mylące dla współczesnego człowieka!) przez „tworzywo“ i „treść“. Zasadniczym jednak źródłem zdolności popularyzatorskich O. Bocheńskiego jest chyba to głębokie życie się z jasną, realistyczną myślą tomistyczną oraz mistrzowska znajomość przedmiotu, która pozwala mu wyeliminować wszelki choćby ślad mętniactwa. Uczyć się, uczyć na tej rozprawie, jak trzeba pisać, jak trzeba walczyć o precyzyjne pojęcie! Myśl katolicka musi przemawiać takim właśnie językiem. Tylko wtedy ukaże ona współczesnemu człowiekowi całą swoją siłę. A tymczasem ilu jesz-

(dokończenie na str. 2-jej)

Aleksander Matejko

Perspektywy wychowawcze czasów

Wsiadając na peronie dworca kolejowego do wagonu z napisem „tylko dla czasowiczów”, z radością myślimy o bliskim odpoczynku w którymś z domów Funduszu Czasów Pracowniczych. Cieszymy się nim wszyscy jednakowo w tym momencie, bez względu na to, gdzie go spędzimy: nad Bałtykiem, w Sudetach, na Podhalu czy w innej okolicy Polski. Kilkunastodniowy pobyt na czasach wzmocni nasze siły, wsączy w nas słoneczną odżywkę, która tak bardzo się przyda po wrocie do dalszej pracy. Piękna okolica, wygodne urządzenie domu, dobre odżywienie, leżakowanie, kąpiele, spacer, opiekę lekarską — wszystko to na czasach ma zapewnić człowiekowi pracy możliwie najpełniejszy odpoczynek.

Powszechne czasowiczy pracownicze są dziś dla nas radosną oczywistością, choć weszły one w zasięg naszego życia przed paru zaledwie laty. Aby je w pełni docenić trzeba sięgnąć pamięcią do lat przedwojennych, kiedy to odpoczynek w najpiękniejszych stronach Polski, turystyka, kuracja kąpieliskowa — były to przywileje tylko małej części naszego społeczeństwa.

Wczasy dzisiejsze, to już zresztą nie tylko miejsce zbiorowego wypoczynku, ale również bardzo ważny ośrodek inteligencji kulturowej naszego społeczeństwa. Przebiega tu ona spontanicznie, obejmując swym wpływem, poprzez powracających do domu czasowiczów, również ich rodziny, znajomych, towarzyszy pracy. Powstał stąd problem wychowawczy o ogólnospołeczny charakter, który w pełni zasługuje na baczną uwagę.

W domach czasowiczych stykają się ze sobą ludzie ze wszystkich stron Polski, należący do różnych środowisk społecznych, wykonujący odmienne zawody. Przywożą oni ze sobą bagaż różnorodnych nawyków kulturalnych, dotyczących spędzania wolnego czasu, współżycia z innymi ludźmi, zainteresowań, poglądów. Jedni z nich lubią wycieczki, drudzy całe dnie poświęcają rozmowom, czy też zabawom. Niektórzy usiłują oddzielić się od otoczenia uważając siebie za „coś epszego”, czy też są skryci, nieufni, inni łatwo nawiązują więzy towarzyskie, chętnie uczestniczą w życiu zbiorowym. Każdy z nich wnosi do gromady czasowiczej część kultury środowiska społecznego, w którym żyje i pracuje.

Oderwani od swego stałego otoczenia, wypoczęci i na ogół przychylnie nawzajem ustosunkowani, czasowicze żywo interesują się wszystkim dokoła, łatwo i chętnie przyswajają sobie nowe wzory kulturowe. Dla wielu z nich wczasy są wielką przygodą, przeżyciem tym głębszym, im bardziej szara i monotonna jest jeszcze dotąd ich codzienność. Ze swych kulturowo odmiennych środowisk przedmieścia miejskiego, miasteczka, czy wsi, przynoszą oni na czasach w świat zupełnie dla nich nowy, z którego czerpią wrażenia pełnymi garściami. Ludzie ci wracają inni do swych środowisk: bogatsi o nowe zainteresowania, potrzeby, perspektywy życiowe. Na czasach ucza się oni nie tylko cenić piękno przyrody, ale również racjonalniej niż dotąd odpoczywać, uprzejmiej i życzliwiej odnosić się do ludzi z innych środowisk pracowniczych. Wspólny pobyt na czasach robotników, chłopów, pracujących inteligentów, znakomicie wpływa na ich wzajemne poznanie się i zrozumienie, usuwa wiele szkodliwych oporów i uprzedzeń, be-

dzających przeżytkami minionych czasów.

Wzajemne zbliżenie się na czasach ludzi z różnych środowisk społecznych jest faktem niezmiernie istotnym ze względu na obecną pracę budowę naszego ustroju społeczno-gospodarczego. Dla pełnego przekształcenia oblicza społeczeństwa konieczne jest, aby zmniejszającym się różnicom w sytuacji ekonomicznej klas pracujących nadałyby odpowiednio przeobrażenia w ich wyposażeniu kulturowym. Wspólne przebywanie w domach czasowiczych członków różnorodnych grup społeczno-zawodowych, znakomicie wpływa na stopniowe zacieranie się istniejących dotąd między nimi tych drażliwych dysproporcji kulturowych, które wywołały dotąd wzajemne uprzedzenia i antagonizmy.

Ale zaraz nasuwa się tu bardzo istotne zastrzeżenie: obecna integracja kulturowa nie może przybierać postaci dowolnego wymieszania różnych wzorów kulturowych, czy też równania poziomu w dół.

W wielu środowiskach społecznych do dziś dnia panoszą się jeszcze wzory obyczajowe, które nowemu społeczeństwu są obce, niepotrzebne, lub nawet wręcz szkodliwe. Powstałe w innych warunkach ustrojowych, nieraz podsypane przez kataklizmy wojenne, dziś wpływają one tylko hamująco na rozwój społeczny. Należą do nich niektóre przestafałe konwenanse towarzyskie (np. nadmierna uniżoność, rozmówki o niczym i w ogóle tzw. „paplanie”), kult seksu, dancingu (bogie-woogie’izm) i powieści kryminalnych, „dzoleryzm” (czyli złotomłodzieńczość) u młodzieży, plugawe zabagnianie języka, żartobliwość - aprobatywny stosunek do pijactwa...

Wymieszanie różnych wzorów obyczajowych często okazuje się społeczeństwu szkodliwe, jeśli ma ono charakter przypadkowy, niezorganizowany. Konieczna tu jest planowa selekcja, gdyż nieraz największą popularnością cieszą się właśnie te wzory, które są społecznie najmniej wartościowe. Są one bowiem często łatwiejsze do przyswojenia, bardziej „biorą”, aniżeli wymagające znacznie większego wysiłku myślowego wzory pozytywne.

Dlatego też integracja kulturowa mas pracujących zachodząca na czasach, winna stać się przedmiotem planowego urabiania wychowawczego, zgodnie z ustalonym, wszechstronnie z pomocą nauki opracowanym, wzorem osobowym nowego człowieka. Człowiek ten nie może być powtórzeniem jakiegoś kolwiek z wzorów dotychczasowych. Musi on być zupełnie inny: dostosowany do warunków nowej epoki, wyposażony z dawnych kultur tylko w to, co z nich oceniamy jako najlepsze. Tą innością nowego wzorca osobowego, oraz związanej z nim ściśle kultury nowych czasów, należy rozumieć w sensie optymalnego ich przystosowania do potrzeb gruntownie obecnie przeobrażonej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Natomiast bynajmniej nie powinno to wykluczać wielobąrnności nowej kultury, która pozwala na wielość alternatyw w zakresie rozwiązywania poszczególnych problemów kulturowych, oraz dopuszcza różnorodność w motywacji światopoglądowej poszczególnych twórców tej kultury.

Powszechne czasowiczy pracownicze stwarzają szerokie możliwości wpa-

ływających takich dziedzin życia codziennego jak higiena ciała, ubiór, odpoczynek, rozrywka, współżycie z innymi ludźmi, stosunek do przyrody itp.

Na czasach łatwo można nieraz zauważyć jak wielkie braki w tym zakresie istnieją jeszcze dotąd w naszym społeczeństwie. Wiadomo, np. że skuteczność czasowiczy jako odżywki wypoczynkowej zależy w dużej mierze od umiejętności wykorzystania przez czasowiczów. Ale jeszcze nie każdy czasowicz dostatecznie to rozumie i potrafi właściwie ułożyć sobie program dnia. Świadczy o tym np. parę faktów zaobserwowanych w którymś z domów czasowiczych: kilku starszych mężczyzn mimo ładnej pogody dzień w dzień siedzi w pokoju i gra w karty, sekretnie to ukrywając przed okiem kierowniczką. Młode towarzysztwo co dzień śpi do południa, gdyż odsypia nocę spędzaną w pobliskim dancingu. Dwaj górnicy od paru dni nie chodzą na żadne wycieczki, bo już pierwszego dnia po przyjeździe przeforsowali się samodzielnym, dalekim marszem w góry.

Lecz trudno jednak nadmiernie dziwić się tym ludziom. Nie zdołali się oni jeszcze przystosować do życia na czasach, względnie spędzają je zgodnie z wzorami odpoczynkowymi swego środowiska, nieraz nie zdając sobie z tego sprawy, że postępowanie ich jest błędne. Nie uświadomili sobie jeszcze, że np. lepiej wstać wcześniej rano i pójść na spacer lub wycieczkę, aniżeli każdą noc tańczyć, czy też cały dzień grać w karty. Jeśli nawet skuszą ich góry, to nie mając jeszcze dostatecznego doświadczenia turystycznego, łatwo narażają się na oparzenie stóp i spuchnięcie kolan, co tym bardziej ich zraża.

Trzeba im dopiero nieraz umiejętnie otwierać oczy na nowe dla nich formy spędzania czasów, uczyć racjonalnego uprawiania turystyki, sportów i dobrej zabawy. W konsekwencjach prowadzi to do wytwarzania się u czasowiczów nowych potrzeb kulturalno-wypoczynkowych, które (jeśli mocniej utrwalone) z kolei wywierają potem pozytywny wpływ na dalsze kształtowanie się ich osobowości.

Fundusz Czasów Pracowniczych doceniając sprawę racjonalnej organizacji na czasach odpoczynku ludzi pracy, stopniowo rozbudowuje w tym zakresie akcję wychowawczą. Lecz problem ten jest znacznie trudniejszy, aniżeli mogłoby się na oko wydawać i pełne jego rozwiązanie przerasta siły doraźnie szkolenych instruktorów. Konieczna jest tu planowa, długofalowa współpraca z FWP ośrodków badawczych z zakresu nauk tak przyrodniczych, jak też humanistycznych (szczególnie socjologii, psychologii, pedagogiki).

Przed naukami tymi stoi dziś wielkie zadanie budowania podstaw dla nowego wzoru osobowego, racjonalizacji potrzeb ludzkich, usprawnienia procesów ich zaspakajania. Zadanie to jest ogniwem ściśle wiążącym empiryczne poznawanie świata przyrodniczego, psychicznego oraz społeczno-kulturowego, z planowym jego przekształcaniem. Najwłaściwsze sposoby wypoczynku, odżywiania, snu, higieny fizycznej i psychicznej, rozrywki, postępowania z innymi ludźmi w życiu codziennym, sprawna organizacja współżycia społecznego, najskuteczniejsze metody wychowawcze — wszystko to są kierunki pracy naukowej bezpośrednio służące ulepszaniu i umiarkowaniu kultury dnia codziennego. Upowszechnienie osiągnięć tej pra-

cy staje się w pełni możliwe tylko w warunkach uspołecznionej gospodarki planowej.

Powszechne wczasy pracownicze stanowią wdzięczne pole dla urabiania kulturowego nowych ludzi w oparciu o dotychczasowe osiągnięcia nauki i z jej bezpośrednią pomocą. Jednocześnie mogą one służyć jako teren studiów badawczo-eksperymentalnych, szczególnie dogodny dla nauk społecznych.

Skuteczna realizacja na czasach wymienionych poprzednio zadań w decydującej mierze zależy od właściwego doboru stosowanych metod wychowawczych, oraz od dostatecznej wysokości kwalifikacji samych wychowawców.

Musimy tu pamiętać, że podstawowym celem akcji czasowiczej jest umożliwienie ludziom pracy pełnego, nieskrępowanego odpoczynku. Ewentualnie zbytnie przeziadanie programowi czasowiczym wzgl. nakładanie na czasowiczów dodatkowych obowiązków, mogłoby przeszkadzać im w odpoczywaniu. Wychowanie czasowicze musi się przeto posługiwać zupełnie odmiennymi metodami aniżeli szkolna presja, która u czasowiczów wywołałaby tylko powszechne znużenie i zniechęcenie. Polegać ono winno przede wszystkim na stwarzaniu czasowiczom atrakcyjnych możliwości spędzenia czasu (co zresztą już dziś jest szeroko stosowane, tylko może nie dość mocno ujęte w ramy jednolitego planu wychowawczego), wskazywaniu dróg realizacji tych możliwości, zachęcaniu do korzystania z nich. Bardzo wiele zależy tu od umiejętnej postawy wychowawcy do urabiania przychylną celom wychowawczym opinią gromady czasowiczej.

Nie jest to takie trudne jeśli zważyć, że czasowicze są na ogół bardzo chłonni na przyswajanie sobie nowych zainteresowań i nawyków. Wszystko ich ciekawi, wszystko

chętni są poznać, wszystkiego spróbować. Góry, siatkówka, księżki w bibliotece, wieczór artystyczny, skromne muzeum miejscowe — cieszą się wśród nich ogólnym zainteresowaniem. Przy umiejętnym postępowaniu z ludźmi łatwo jest namówić ich na wycieczkę, urządzić zbiorową zabawę, wywołać nastrój wzajemnej życzliwości i sympatii.

Atmosfera życia gromadnego ma na czasach bardzo duży wpływ urabiający. Przeciwny czasowiczy żywo obserwuje zachowanie się współmieszkańców domu przy stole, podczas zabawy, czy też na wycieczce i sam liczy się z tym, że jest też obserwowany przez innych. Opinia gromady czasowiczej często znacznie więcej dla niego znaczy, aniżeli przepisy regulaminowe, ewent. nagany lub kary. Wciążenie czasowiczów do życia zbiorowego, skierowywanie go (ale nie całkowite nim kierowanie!) na właściwe wychowawczo tory, za pomocą selekcji wzorów obyczajowych przejawiających się w tym życiu, oraz wprowadzania doń nowych wartości kulturowych — należą do zadań wychowawcy czasowiczej.

Z drugiej strony życie gromadne nie powinno nadmiernie kępować czasowiczów, zwłaszcza tych, którzy zmęczeni pracą szukają na czasach spokoju i samotności. Muszą mieć oni ku temu pełną swobodę, gdyż w przeciwnym razie nie wypoczną należycie.

Szeroka skala możliwości spędzenia czasów — od form samotnych do najbardziej kolektywnych — nie przeszkadza jednak, aby wszystkie one prowadziły do wspólnych celów. Należy do tych celów tak pełny odpoczynek, jak też wydobycie ludzi z ich dotychczasowych partykularnych skorup obyczajowych i wprowadzenie do nowej, wartościowszej społeczności kulturowej.

Aleksander Matejko

DLACZEGO UCZYMY SIĘ TOMIZMU?

(dokończenie ze strony 1-ej)

cze ludzi wyobraża sobie, że spirytałiści muszą zawsze przemawiać językiem pełnym mgieł i wichrów!

Wydaje mi się, że pewnego rodzaju subiektywizm, emocjonalizm, może mieć jakieś psychologiczne uzasadnienie w sztuce, czy nawet w przeżywaniu pewnych spraw naszego życia (trudno — jesteśmy tylko ludźmi, nawet O. Bocheński musi to wybaczyć!). Chyba dlatego Kościół zarezerwował w swoich ramach miejsce dla nurtu augustyńskiego, zabarwionego subiektywizmem i idealizmem, — obok głównej rzeki tomistycznej. Ale kiedy chodzi o organizację życia społecznego, o filozofię mającą przemawiać do epoki masowych ruchów społecznych, — w takim wypadku subiektywizm musi ponieść pełną klęskę. Indywidualne doświadczenia duchowe są wielkim skarbem. Ale budowa nowego życia społecznego może się oprzeć tylko na filozofii dostępnej powszechnemu doświadczeniu ludzkości. Filozofii opartej na bazie jak najbardziej obiektywnej, na bazie konsekwentnego realizmu. Dlatego katolickie postępowe ruchy społeczne muszą być dziś związane z tomizmem, z tomizmem twórczym, rozwijającym się, przekształcającym nawet pewne swoje uboczne tezy, z tym tomizmem, który jest latarnią, a nie granicą.

Zygmunt Kubiak

Aleksander Rogalski

Katolicyzm niemiecki dzisiaj*

(Luźne uwagi)

To, co się dzieje dzisiaj w Niemczech zachodnich na terenie Kościoła Katolickiego, hierarchii i klejnotów jak również politycznych partii, których udział katolików jest bardzo wielki — pisze autor — narodzić może do najczarniejszego pomyślnizmu. Wciąż ciężką nad katolicyzmem niemieckim tradycje nacjonalistyczne. Upiory z tej przeszłości, w której dominowała niewątpliwie pamięć zasada związku „onu i ołtarza“.

W dziedzinie politycznej i społecznej katolicyzm w Niemczech zaradza uleganie wpływom, które wywołują się w specyficznej obrączce politycznej i ślepych posłuszeństwie wobec autokracji, w antydemokratyzmie. W żadnym kraju nie występował może tak silnie u katolików rozdział między teorią a praktyką jak właśnie w Niemczech. Teoria i zasady chrześcijańskie pierzgnęły oni często w sferze hermetycznie oddzielonej od życia, w praktyce zaś kierują się motywami nie mającymi wspólnego z chrześcijaństwem.

Przejawiało się to najwyraźniej w stosunku katolicyzmu w Niemczech do hitlerizmu. Jest rzeczą powszechnie znaną, że w doświadczeniu do władzy w 1933 r. rolę poważną odegrał brak świadomości u ludności katolickiej groźby, jaką stanowił dla całego świata cywilizowanego, a w szczególności dla chrześcijaństwa narodowy socjalizm. Z tym szła sympatia tych mas dla reżimu hitlerowskiego, w wielu wypadkach żywiołowy ich akces do partii hitlerowskiej. Katolicyzm w Niemczech był też w dużej mierze manipulowany przez uczucia nacjonalistyczne, które sfalszowały perspektywy i sprawy, że katolicy w pełni całkowicie ulegli hitlerowcom w dziedzinie polityki.

Złą przysługę oddało narodowi niemieckiemu a zarazem katolicyzmowi w owych przełomowych chwilach tzw. Centrum, skupiające żywoty katolickie. Posiadało ono tak wielkie znaczenie w okresie Republiki Weimarskiej, że można powiedzieć bez obawy popełnienia przelaty, iż w jego rękach, w rękach przywódców Centrum i w rękach tego wyborców tkwił los Hitlera. Oczywiście, ostateczna decyzja powzięta przez Centrum, była z góry do przewidzenia. Centrum popierało tajne zbrojenia i imperialistyczne dążenia koalicji junkiersko-przemysłowo - wojskowej. Ludzie z Centrum dostarczali też ruchowi narodowo - socjalistycznemu pierwotnych środków finansowych. Główne punkty programu partii Hitlera, jak walka z traktatem wersalskim, walka przeciwko zarzutowi wojny za wywołanie wojny światowej, zbrojenia Rzeszy oraz dążenia podwójne cieszyły się dość dużym poparciem w kołach Centrum.

Te i tym podobne względy sprawiły, że postanowiono ułatwić Hitlerowi zdobycie władzy. Jako prelat Kaas reprezentujący umiarkowane koła Centrum, w marcu 1933 r. wezwał katolików niemieckich, by zamiechali opozycji względem nowych władców Rzeszy i poparli ich. Jednocześnie partia centrowa głosuje za tzw. Ermächtigungsgesetz, przyznając się w ten sposób do wyposażenia rządów Hitlera we władzę dyktatorską. Wkrótce po tym biskupi niemieccy, zebrani w Fuldzie, wydali prorządową proklamację, w której oświadczyli, że członkostwo w

partii hitlerowskiej nie jest niezgodne z przynależnością do Kościoła Katolickiego. W ten sposób jednak sami podcięli gałąź, na której siedzieli, ponieważ nastąpiła niebawem likwidacja zarówno Centrum jak i wszystkich katolickich organizacji społecznych, wychowawczych itp. Ukoronowaniem tego rodzaju zabiegów i postępowania było zawarcie dnia 20 lipca 1933 Konkordatu.

Oczekiwane przez wielu odrodzenie katolicyzmu niemieckiego po drugiej wojnie światowej nie nastąpiło. Gdy w książce Bruce Marshalla „Chwała córki królewskiej“ prosty żołnierz angielski zapytuje się na froncie księdza Smitha w czasie pierwszej wojny światowej, czy katolicy niemieccy również walczą o lepszy świat, otrzymuje on następującą odpowiedź: „Oni zostali wprowadzeni w błąd w sprawach polityki przez swych doczesnych władców, lecz z chwilą, gdy my wywalczymy nasze zwycięstwo, łuski spadną z ich oczu i szata Boża zostanie zszycia z powrotem“. Tragiczne jest, że tego rodzaju zapowiedź okazała się utopijną nawet ówczesnego wieku.

Jednym z najbardziej jaskrawych dowodów tego jest uporeczywa walka z postanowieniami układu poczdamskiego, zwłaszcza z linią Odra-Nysa, prowadzoną przez główne ośrodki katolicyzmu niemieckiego wyłożenie przez ostatnich pięć lat. Akcja ta prowadzona jest zarówno na terenie Niemiec jak i na terenie zagranicznym, a prym w niej wiodzie episkopat niemiecki. Do czasu powstania „państwa związkowego“ w Bonn biskupi niemieccy odgrywali rolę jedynych niemal niemieckich mężów stanu, i to w stylu bismarkowskim, którzy próbowali swymi wystąpieniami publicznymi i manewrami na parkiecie dyplomatycznym uchylić od Niemiec główne konsekwencje przegranej a rozpetanej przez Hitlera wojny i zrzucić z ich bark cały ciężar zadośćuczynienia za popełnione przez faszystów niemieckich zbrodnie. Wystarczy wymienić tu nazwiska kardynała Fringasa, arcybiskupa Groebera, kardynała Preysinga oraz zbiorowe listy pasterskie episkopatu niemieckiego, zbierające się na doroczne obrady w Fuldzie.

Spadkobiercy dawnego Centrum — Chrześcijańska Unia Demokratyczna rozprawiała szeroko po społeczeństwie niemieckim sugestie i tezy rzucane przez wysokich przedstawicieli Kościoła, mocno rozbudowanymi kanałami. Fakty zresztą ujawniły, że istnieje silna polityczna więź między CDU a oficjalnymi czynnikami kościelnymi w Niemczech. Niemal już od pierwszych dni swego istnienia CDU występowała z programem rewizjonistycznym w stosunku do zakreślonej przez układ poczdamski wschodniej granicy Niemiec. Znamienne przy tym było, że autorami najjaskrawszych wystąpień rewizjonistycznych w ostatnim czasie byli księża, którzy wstawili się swą dawniejszą działalnością antypolską.

Tak więc katolicyzm w Niemczech nie wyzyskał jedynej w swoim rodzaju szansy, jaką mu dawał program Trzeciej Rzeszy, a jaka stwarzała mu najkorzystniejsze warunki do dokonania własnego odradzenia. Idee i tendencje z okresu imperializmu niemieckiego okazały się silniejsze w katolicyzmie niemieckim aniżeli świadomość konieczności własnego przeobrażenia wewnętrznego.

Jest jednakże jasne, że znajomość działalności politycznej, oblicza po-

litycznego katolicyzmu niemieckiego nie oznacza jeszcze pełnej jego znajomości. Przeciwnie, wywołuje ona tym silniejszą jeszcze potrzebę poznania innych także sił i czynników, które kształtują jego pełny obraz.

Z tych względów będziemy niniejszym próbowali dostarczyć Czytelnikowi, opierając się na dostępnych nam materiałach paru przyczynków do tak mało mu znanych rzeczy, a tak ważnych, jak struktura organizacyjna, siła liczebna, stopień dynamiki socjalnej katolicyzmu w Niemczech oraz jego jakościowa wartość

SYTUACJA I SIŁA KATOLICYZMU W NIEMCZACH DZISIEJSZYCH

Najpierw więc odpowiedź na pytanie, które musi, jak sądzę, nurtować niejednego katolika w Polsce, mianowicie, jaką siłę materialną i społeczną przedstawia dzisiaj katolicyzm niemiecki. Odpowiedź tę oprę na danych, zaczerpniętych ze zbiorowej pracy pt. „Les églises en Allemagne“, wydanej w ubiegłym roku w Paryżu przez międzynarodowy ośrodek badań nad polityką zagraniczną. Jest to praca dokumentacyjna, powstała w wyniku skrupulatnych i rzetelnych badań oraz statystyk. Dlatego oparcie się na niej ma, wydaje się, swoje uzasadnienie, tym więcej, że jak podkreślają jej autorzy, zagadnienie jest trudne i zawile, a studiów, oświetlających je, jest niewiele.

Sieć organizacyjna Kościoła Katolickiego w Niemczech ze względu na rozbieżność wyznaniową tego kraju była niezwykle powikłana. W roku 1944 Kościół w Niemczech podzielony był na pięć prowincji, obejmujących dwadzieścia pięć okręgów diecezjalnych. Powojenny układ polityczny Niemiec sprawił, że wytworzyła się uderzające anomalie. Istnieją np. diecezje, jak bawarska, które podzielone są między dwie lub trzy władze okupacyjne, przy czym na domiar złego siedziba diecezji bywa odłączona od podlegających jej miast stołecznych.

Wojna zniszczyła miejsca kultu nieraz aż w 85 proc., jak w diecezji akwizgrańskiej. Wraz z gmachami zniszczone zostały seminaria, kolegia, szpitale, stowarzyszenia religijne.

Do tych zniszczeń wojennych dołączyła się niepewność ustroju politycznego. Konkordat z Rzeszą pozostawił nieknięte konkordaty lokalne: bawarski, pruski i bański, którego były one jedynie uzupełnieniem. Pozostał aglomerat układów i konwencji, z którego każda władza okupacyjna wybiera sobie, co jej się żywnie podoba, stosując nadto najróżniejsze interpretacje. Całkowita niepewność prawna uwidoczniła się zwłaszcza w wypadku opróżnienia się jakiejś stolicy biskupiej.

W tych chwiejnych ramach tłoczy się gęsta, niespokojna masa ludności. W roku 1939 trzy strefy zachodnie posiadały około 22 milionów katolików. Obecnie do tej cyfry dołączyło się 3 miliony wysiedleńców.

Dane statystyczne ogłoszone przez „Faehrmanna“ w marcu 1947 r. w odniesieniu do 15 diecezji rzucają interesujące światło na siłę liczebną katolicyzmu niemieckiego. Tak więc na 38.700.000 mieszkańców istnieje tam 16.140.000 katolików, to jest 41,7 proc. Z wyjątkiem Spiry i Rottenburga diecezje położone przy zachodniej i południowej granicy — monasterska, akwizgrańska, frewirska, augsburska, monachijska i pasawska — posiadają większość kato-

licką, która sięga nawet w Akwizgranie aż do 88 proc., natomiast diecezje środkowe — Bamberg i Fulda — spadły z 40 na 28 proc., a wschodnie — Miśnia i Berlin na 13 i 11 proc. Siła więc liczebna katolicyzmu niemieckiego mieści się w prowincji nadreńskiej i naddunajskiej.

Nad tą masą katolicką opiekę rozciąga w trzech strefach zachodnich 22.336 kapłanów świeckich, z tego 7.608 w strefie amerykańskiej, 7.808 w brytyjskiej i 5.490 we francuskiej oraz 3.268 kapłanów zakonnych. Jest przeto ich zbyt mało, by mogli podołać olbrzymim zadaniom duszpasterskim, zwłaszcza że duchowieństwo kieruje nie tylko parafiami, lecz także stowarzyszeniami religijnymi.

Te stowarzyszenia wykazują poważne cyfry i tak Młodzież Katolicka, zrzeszająca wiernych od 10 do 20 lat, liczyła w styczniu 1948 r. około miliona członków w trzech strefach zachodnich. W ośmiu diecezjach należy do niej 192.000 chłopców na 788.000 ochrzczonych i 293.000 dziewcząt na 929.000 ochrzczonych, to znaczy jedna czwarta młodzieży męskiej i jedna trzecia młodzieży żeńskiej.

Obecnie nie istnieją w Niemczech syndykaty chrześcijańskie, a to z powodu rozwijania się w każdej ze stref jednolitego ruchu zawodowego. Toteż Kościół stara się utrzymać w łonie związków zawodowych sieć stowarzyszeń religijnych, będących kontynuacją dawnego ruchu syndykalistycznego. Kierują nimi profesorowie ekonomii politycznej, A. Weber, ks. von Nell-Breuning i ks. biskup Wohlgemuth z Fuldy, przewodniczący zarządu głównego związków katolickich w Niemczech. W reorganizacji znajdują się również katolickie korporacje rolnicze, prowadzone przez dawnego przywódcę Unii Chrześcijańskiej w Berlinie, Hermesa, przebywającego obecnie w Bad Godesberg, niedaleko Bonn.

Dużą podniętą w kierunku aktywności socjalnej dla katolicyzmu niemieckiego stanowi kontakt katolików z marksistami. W tym względzie cytowane przez nas źródło stwierdza, że w Berlinie kontakt ten przybrał nawet formę współpracy, która posunęła się bardzo na przód od czasu wspólnej walki przeciwko hitleryzmowi. Znajduje ona wyraz w jawnych zasadach programowych chrześcijan - socjalistów, socjalizacja wielkich przedsiębiorstw, zniesienie dziedzictwa majątkowego. Wśród katolickich partii politycznych bardzo zaawansowane wydaje się być Centrum (w Nadrenii - Westfalii), natomiast najbardziej zacofaną — dziesięciokrotnie od niej silniejsza liczebno CDU (zwłaszcza w Bawarii).

Jedną z najsilniejszych federacji katolickich w Niemczech jest Związek Caritas, Deutscher Caritas Verband. W roku 1939 pod jego kontrolą znajdowało się 13.712 zakładów, z tego 800 szpitali, 2.500 szkół kra- wieckich i robót ręcznych, 3.300 przytułków i ogródków dziecięcych oraz 5.200 przychodni parafialnych. Większość tych zakładów wyszła z wojny cała, a reszta jest w odbudowie. Dzisiaj w ramach Caritasu pracuje 120.000 osób, z tego 80.000 zakonników i zakonnic, wspomaganych przez 600.000 dobrowolnych pomocników. Przyszli oni z pomocą sześciu milionom wysiedleńców. Jest to przykład akcji socjalnej, która zasługuje na wielką uwagę.

Pozostaje sprawa szkół katolickich, na które episkopat niemiecki kładł zawsze wielki nacisk. Tak więc w roku 1931 na 52.961 szkół powszechnych 44.379 było wyznaniowych. Odbudowa powojenna szkolnictwa wyznaniowego dokonuje się w każdej strefie w odmiennym tempie. Wiadomo, że w strefie francuskiej w roku 1947 jedna trzecia szkół powszechnych była wyznaniowych oraz 258 szkół średnich. Na trzech wydziałach teologii katolickiej studiuje 520 słuchaczy.

Pozostaje problem katolickich studentów niemieckich. Przedstawia się on nie łatwo. „Świat studentów niemieckich był zawsze domeną nacjonalizmu — pisze K. I. Hahn w „Les Eglises en Allemagne“. — Tutaj koncepcje nacjonalistyczne panowały niepodzielnie i każda inna tendencja znajdowała się w defensywie. Wśród studentów katolickich trzeba więc najpierw poczynić bardzo istotną różnicę pomiędzy grupami, które znajdują swój początek w ruchu młodzieżowym i w tzw. „Kartell-Verbaende“, które składają się z „farbentragende Studenten“. Te związki są świadomym naśladownictwem zrzeszeń „narodowych“ studentów i mentalność ich jest równie reakcyjna i nacjonalistyczna jak oblicze innych związków tego typu. Choć zostały one dopuszczone do rozwijania działalności pod okupacją w pewnej formie, to jednak nie wydaje nam się, by te „Kartell-und Alt-Herren-Verbaende“ posiadały jakąkolwiek użyteczność. Reprezentują one formę burżuazyjną i staroświecką, a zarazem najczęściej bardzo liberalną katolicyzmu, który był zawsze łatwą ofiarą aspiracji narodowców niemieckich. Jeśli duch tych organizacji nie ulegnie radykalnej przemianie, nie będzie można po nich spodziewać się pozytywnej działalności.

Całkiem inny natomiast jest charakter studentów, którzy uczestniczyli w ruchu młodzieży katolickiej; u nich znajduje się entuzjazm duchowy i uczucia społeczne w miejsce skrajnie burżuazyjnych koncepcji. Walczyli oni z nacjonalistami, z młodzieżą hitlerowską. Bez wątpienia od nich można oczekiwać produktywnych wyników“ (s. 85—86), pod warunkiem jednak — zaznacza autor — że młodzież ta wyzbedzie się ostatnich śladów zakażenia się młodzieżą hitlerowską, mianowicie wój-skowego sposobu zachowywania się, a poza tym, że uniknie romantyzmu, wyłączającego ją poza ramy rzeczywistości, że, przeciwnie, przezwy-cięży niechęć do polityki i będzie się przygotowywać do konkretnych zadań politycznych.

Tak się oto przedstawia katolicyzm niemiecki w chwili obecnej od strony organizacyjnej. Nie ulega wątpliwości, że stanowi on poważną siłę materialną, społeczną i kulturalną.

OBLICZE DUCHOWE KATOLICYZMU NIEMIECKIEGO

Podaliśmy garść informacji, dotyczących organizacyjnej strony katolicyzmu niemieckiego w dobie dzisiejszej oraz jego siły materialnej. Obecnie zajmujemy się sprawą intensywności życia religijnego katolików niemieckich, a więc tym, co stanowi w ogóle o sile lub słabości wszelkiej wiary.

Prof. Le Bras ze Sorbony, światowej sławy socjolog religii, autor niezwykle ciekawego studium pt. „Położenie i rola Kościołów w Niem-

*) Przedruk z miesięcznika „Życie i Myśl“ nr 1/2.

czek“ zamieszczonego we wspomnianej już zbiorowej pracy „Les Eglises en Allemagne“, nie zadowolili się — i słusznie — oficjalną cyfrą ochrzczonych w Kościele Katolickim, lecz idąc za wzorem statystyk religijnych we Francji, postanowili zastosować do katolików niemieckich poczworną klasyfikację po to, by się dowiedzieć, ilu jest wśród metrykalnych katolików niemieckich: 1. konformistów sezonowych, zadowolających się aktami uroczystymi chrzest, pierwsza komunija św., małżeństwo, pogrzeb; 2. praktykujących regularnie, tj. chodzących co niedziela na mszę św. i raz na rok około Wielkiej Nocy idących do spowiedzi św.; 3. pobożnych, przystępujących często do Stołu Pańskiego, należących do bractw kościelnych itd.; 4. oderwanych od Kościoła w sposób całkowity, nie praktykujących nawet w tak wyjątkowych wypadkach jak ci z pierwszej kategorii. Niezależnie od niego autor uwzględnił w każdej kategorii i na każdym terytorium pleć, wiek, klasę społeczną i zawód.

Rzecz jasna, trudno było nawet pokusić się o zebranie odpowiednich danych z wszystkich prowincji niemieckich w obecnym okresie powojennym. (Przed wojną nie byłoby to możliwe, gdyż wychodzący stale „Kirchliches Handbuch“ ogłaszały dane tego rodzaju z każdej diecezji. Handbuch, zawieszony w r. 1943, będzie dopiero wznowiony). W braku tego pierwszorzędного źródła autor korzystał z cząstkowych danych, udzielonych mu przez biskupów kilku diecezji. Oto niektóre z nich:

Diecezja fryburska liczyła w r. 1946 na 1.623.000 ochrzczonych katolików 941.000 przystępujących raz na rok do spowiedzi i 872.700 uczęszczających na mszę w niedzielę. W Badenii 72 proc. katolików spowiada się raz na rok, wynosi to 58 proc. ogółu ludności. Procent regularnie praktykujących wynosi od 67 do 53. W diecezji mogunczkiej spowiada się tylko 39 proc. katolików.

Ogólna liczba rocznych komunii we Fryburgu świadczyć się zdaje o bardzo rozpowszechnionej pobożności: 23.855.000 w r. 1946.

Oficjalnych odstępstw jest mało, lecz istnieje duże niebezpieczeństwo w odniesieniu do trwałości i spójności grupy katolickiej, a to w postaci małżeństw mieszanych, które cechuje duża liczebność. Np. w Moguncji 35 proc. małżeństw jest mieszanych i 41 proc. ochrzczonych dzieci pochodzi z tych właśnie małżeństw.

Byłoby rzeczą niezmiernie interesującą, gdyby można było się dowiedzieć, jak wygląda nasilenie religijności w poszczególnych klasach społecznych katolików niemieckich. Niestety informacje co do tego są bardzo fragmentaryczne. Wiadomo więc, że klasa robotnicza w Westfalii wypełnia praktyki religijne i że najniższy stan praktyk wykazują studenci w Moguncji. Ogółem rzecz też biorąc jest pewne, że liczba katolików czysto nominalnych w Niemczech jest poważna, może ich jest nawet połowa, że generacje, dotknięte przez hitlerizm, zachwiały się mocno w wierze, że w tym zakresie występują duże różnice między poszczególnymi krajami niemieckimi, a nawet w obrębie jednej i tej samej diecezji: w diecezji mogunczkiej, zależnie od dekanatu, procent przystępujących tylko raz na rok do spowiedzi waha się od 50 do 11.

Tylko obserwujący regularnie przepisy Kościoła mogą być uznani za faktycznych katolików — powiada słusznie autor cytowanej rozprawy. W Niemczech wynoszą oni niespełna połowę, co stanowi jedną szóstą ogółu ludności. Co przedstawia ta frakcja w rzeczywistości w potęgę Niemiec? Oto pytanie, na które

próbuję autor dać pewną odpowiedź.

Najpierw sprawa jedności organicznej i bogactwa życia.

Jedność społeczna katolicyzmu niemieckiego uległa poważnemu zachwianiu. Okazuje się, że wspólnota narodowa i wyznaniowa nie wystarczą do tego, by ludzie poczuli się sobie naprawdę bliscy wzajemnie, jeśli dzielą ich warunki gospodarcze, obyczaje i zwyczaje, cechy etniczne, dialekt, przeżycia historyczne itd. Widać to w każdym razie na przykładzie katolików niemieckich. Katolicy wysiedleńcy stanowią w autochtonnej społeczności niemieckiej diaspore. Katolicy sudeccy, odznaczający się pod wpływem braku konfliktów religijnych i pod wpływem józefinizmu miękka i cklivą religijnością, współżyją źle z pobożnymi katolikami nadreńskimi. Niemców znów ze Śląska izoluje od nowego środowiska cała ich folklor. Z drugiej zaś strony miejscowi katolicy z niechęcią witali współwyznawców z innych stron, bo zmuszeni są dzielić się z nimi swoimi zasobami.

Tak więc niemal w każdej diecezji w Niemczech katolicyzm przedstawia się nader różnicie. Nadto wpływy z zewnątrz jeszcze bardziej osłabiają spójność katolicyzmu niemieckiego. Wystarczy też wymienić fakt, że np. katolicy sudeccy mają do dyspozycji w promieniu 20 kilometrów wyłącznie kaplice i szkoły protestanckie.

A jaką wartość przedstawia kler niemiecki?

Znana działaczka i publicystka katolicka, Ida Fryderyka Goerres przeprowadziła badania, by znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego dia tak wielu dzisiejszych katolików niemieckich *sentire cum Ecclesia* świadome, radosne współżycie z Kościołem, jest tak trudne lub wręcz niemożliwe. Odpowiedzi szukała w najrozmaitszych kręgach i grupach. w listach i rozmowach z wieloma ludźmi, przeważnie z aktywnymi współpracownikami przy rozmaitych zadaniach kościelnych, których zapytowała o ich opinie i doświadczenia, odniesione z własnych terenów, wśród młodzieży i w życiu powszednim.

Wynik był zaskakujący. Oto, co ona sama na ten temat pisze: „Oczekiwano wielu rzeczy: trudności dogmatycznych, niezadowolonia z kościelnego ustawodawstwa małżeńskiego, dyskusji nad katolicką postawą wobec eugeniki, politycznych błędów lat dawnych, znanych zarządów nauki z popularnymi „dogmatami“, które ogół uważa za nauki przyrodnicze. Zamiast tego wciąż ta sama ze zdumiewającą i zaskakującą melancholią się pojawiająca odpowiedź: rozczarowanie do księży...“ („Frankfurter Hefte“, 3/1947).

O co głównie idzie? Otóż Ida Goerres oskarża księży przede wszystkim o bezduszność, formalizm i rutynizm w zakresie liturgii, o daleką od życia gadaninę, skleconą z przestarzałych ksiązek homilijnych, która zastąpić ma kazania, naszpikowaną płaskimi anegdotami, dającymi upust samochwale mówcy, lub utrzymaną w żargonie modnej aktualności w rodzaju tej, jaką zaprezentował pewien kaznodzieja w Berlinie w dzień Nowego Roku w kościele przepełnionym tłumem wiernych gdy mówił o Chrystusie, jako o „boskim wodzu naczelnym, który z wieżym pancernym Tabernaculum miota w świat swój płomienny rozkaz: „Christus, der goettliche Feldherr, der aus dem Panzerturm des Tabernakels sein Kommando zuendend in die Welt schleuderte...“

Księża opuścili i zmarnowali tyle okazji do głoszenia prawdy ludziom, którzy przeżyli straszliwe wstrząsy i którzy nigdy w życiu swym nie byli tak gotowi do przyjęcia tej

prawdy jak wówczas. Wiedzą o tym żołnierze, jeńcy wojenni i uciekinierzy. Są wprawdzie i doświadczenia pozytywne. Ale dlaczego są one tylko wyjątkiem? — zapytuje się Ida Goerres. Dlaczego dobre kazanie jest już w normalnej pracy duszpasterskiej wyjątkiem? „Dlaczego oddycha się z ulgą, gdy się przypadkowo wysłuchało w obcym kościele porządnego kazania — nie mówię wcale: pięknego, mądrego, uczonego, nie, jedynie teologicznie nienagannego, nie odpychającego, pobożnego kazania bez frazesów i fałszywych tonów, takiego, nad którym nie potrzeba się złościć i którego nie zapomina się zupełnie już na drodze między ławką a drzwiami kościoła... Lecz z klasztorami nie jest, niestety wiele lepiej — oddycha się z ulgą, i dziękuje Panu Bogu, gdy wraca się stamtąd nie z przykrym smakiem w ustach i z gorzkim, trudnym do odparcia sądem o bolesnych przeciwnościach między pobożną formą a nieuczciwą, nieprawdziwą, nerealną postawą wobec ludzi...“ („Brief ueber die Kirche“, „Frankfurter Hefte“ 8/1946).

A jak wygląda postawa społeczna i poczucie sprawiedliwości duchownych w dziedzinie praktycznej, na terenie instytucji? Wygląda tak, jakby „życie duchowe“ i praktyczne stanowiły dwie o całe niebo rozdzielone sfery, z których się jedna z drugą nie krzyżuje.

„Wszystkie rzeczowe statystyki z osiągnięć kościelnych nie mogą z oczu usunąć faktu — pisze nam Ida Goerres — że tutaj istotnie kryje się punkt bolesny. Jeśli przed wojną pewna działaczka społeczna w wielkim mieście niemieckim w poszukiwaniu przytulku dla młodej nieślubnej matki, która czekała na rozwiązanie, zwracała się po kolei do siedemnaście zakładów klasztornych i szesnastcie razy ją stanowczo odprawiono z niczym, ponieważ na — pierwsze — pytanie: „Kto pokryje kosztą?“ nie mogła udzielić żadnej wiążącej odpowiedzi, lecz „tylko“ — zapewnienie, że o to się postara, i jeśli dopiero siedemnaście położna okazała gotowość przyjęcia „w imię Boże“ ryzyka — wówczas coś jest tu nie w porządku.

W słusznych zaś zresztą wysiłkach o szkołę katolicką, ileż kler wykazywał ciasnoty i fanatyzmu, wsteczności i zaciętrzewienia.

Zatwardziałość serca, cechująca tak wielu duchownych niemieckich, napędza Idę Goerres największym rozgoryczeniem. Ta przywara zastąpiła skutecznie dawną symfonię, lichwiarstwo i rozpustę kleru. Brak dobroci, miłości, współczucia i wczucia się w cudzą niedolę stanowił z punktu widzenia ludzkiego i chrześcijańskiego bolesny i przerażający niedostatek. Jest on nawet tragiczny jeśli stanowi objaw także braku miłości Boga. Wystarczy zapytać ludzi, którzy najgorliwiej pracują w dziedzinie miłosierdzia, gdzie najmniej zrozumienia znaleźli dla swoich wysiłków, a zamiast tego nawet czynny opór przeciwko nim, serca opancerzone sytością i gnuśnością. Odpowiada, że u księży: „Zapytajcie się siostr gminnych i pomocnicze duszpasterzy, a będziecie zdziwieni rozgoryczeniem, jakie ogarnia ludzi najczystszej woli i największej ofiarności po paru latach ścisłej współpracy z księżmi, rozczarowaniem, graniczącym nawet ze zwątpieniem u młodszych, uczciwych ludzi, którzy chcieli oddać, co mają najlepszego, w służbę przy winnicy Pańskiej. Co łamie stopniowo ich radość, ich ufność i szacunek? Bynajmniej nie jaskrawa złość, lecz zimno i zatwardziałość, sobkowskie wygodnictwo i obojętność tak wielu duszpasterzy...“

Znamionująca zaś inny rodzaj księży autorytatywność, zarozumiałość i

niecierpliwość nasuwa Idzie Goerres „bardzo złośliwe, lecz, niestety niezupełnie niefortunne słowo: k l e r y k o - f a s z y z m“. Uderza bowiem, że księża niemieccy o wiele więcej wykazują gorliwości i czujności, jeśli idzie o pozycję polityczną Kościoła aniżeli w odniesieniu do rozwoju Królestwa Bożego w duszach ludzkich; bardziej ich obchodzi czysto strategiczny stosunek do świata aniżeli duszpasterski.

Przedstawiony tu pokrótce artykuł Idy Goerres o Kościele Katolickim w Niemczech wywołał tam ogromne wrażenie: posypały się repliki gromy na autorkę, ale przeważały głosy, przyznające jej zupełną słuszność. Nie brakło nawet księży, którzy wyznawali: *mea culpa*.

Przedmiotem gwałtownej krytyki stają się również stare organizacje katolickie. „Nie dajcie się zwieść — pisał do autora studium o „Położeniu i roli kościołów w Niemczech“ pewien lekarz — naszym związkom i stowarzyszeniom katolickim. To są starożytności pozabawione prawdziwego życia, podtrzymywane przez rutynowany kler pod naczelnym kierownictwem takiego lub innego praelata exnazisty!“

Lecz trzeba przyznać, że są także objawy odrodzenia. Przeszkody i piękności konstytucyjne rozwijają poczucie jedności, konieczność wspól- i sklerozy, lecz także pewnej siły

caritas katolicka. Kontakt z protestantami wytwarzać może poczucie wspólnoty duchowej. Dyskusja z marksistami: wzbogacając obydwu partnerów. Z opozycji względem kleru rodzi się apostoła świeckich, który stanowi poważne zjawisko niemieckiego życia katolickiego.

Oczywiście, nie znaczy to, by tym samym już kler utracił swe znaczenie: w niemieckich masach katolickich zachowuje on nadal duży prestiż.

Znamienne jest, że spadła poważnie liczba apostazji oficjalnych. W diecezji mogunczkiej przypadło na ogólną liczbę 450.000 katolików w roku 1931 — 1.618 apostazji, w roku 1941 — 2.477. W tych samych latach cyfra nawróceń spadła z 235 na 96. Natomiast odwrotnie w r. 1946 na 219 wystąpiło było 1.483 nawróceń. Dalej, krzywa komunii, spadająca w latach od 1936 do 1940, zaczęła się od tam podnosić.

Wreszcie wspomnieć trzeba o tłumnych procesjach Bżego Ciała, o pielgrzymkach i kongresach, o próbach przeniknięcia do związków zawodowych i do fabryk, a na koniec o twórczości teologów w rodzaju Guardiniego, o 52 periodykach katolickich i o 22 organach diecezjalnych w trzech strefach.

Katolicyzm niemiecki więc wykarzuje nie tylko objawy formalizmu życia ze świeżo przybyłymi wspól- i dynamiki. Aleksander Rogalski

Andrzej Zeyland

Recenzja*)

Pogańskie ukochanie lasu —
Słowiański — las bezręki —
Tak przez rozchwiane korony marzeń
blekit.

Lutnia Wasza jest wschodem,
Na wyciągniętych strunach
młodość.

Zakonspirowana w sercu wiedza,
serce w lesie.
Słońce przeszło przez las do skóry
w leśny poemat.

Tylko, że w Waszym lesie
nie „faunowie skaczą leśni“,
a chłopcy rozchylali spokój paproci
i cekaemy wleci — na tęsknotę
niebieskim oczom.

— że gdybym był dziewczyną
rwałbym te słowa do ust,
całować w każdym młodość
— niedostrzelany ból.

Nauczę się w alei
podkreślonej ulicznym zgiełkiem
przy jednej brzoźce sięść i cieniu,
— — gdzie przez zielone wzruszenie wiat
przeżyję płynięciem
marzeniom.

Las — cień, chłód — jezioro.
radość postłoneczniona — —
Ot, książkę Waszą otworzę
i modlić
młodość.

*) Klemens Oleksik — Wiersze. Wyd.: Biblioteka Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich, Warszawa, 1948 r.

E. Richter

ROZMOWA O UBOSTWIE*

F. Narzekasz na biedę, kora nas dotknęła?

H. Czyż nie mam podslaw ku temu? Żyliśmy poprzednio w dobrych warunkach, a teraz mamy zaledwie to, co jest niezbędne do życia.

F. Czy to co najpotrzebniejsze, nie jest jednak wystarczające? Apostoł mówi przecie: „Jeśli mamy pożywienie i odzież, to powinno nam wystarczyć“.

H. Ale czyż mamy to dla siebie i dla naszych bliskich zawsze w stopniu wystarczającym? Czyż bieda nie jest naszym codziennym gościem, mimo że mamy prawo do życia wypełnionego spokojem i wolnego od trosk? A wielu ludziom powodzi się w tych trudnych czasach bieddy tak, że im niczego nie brakuje?

F. Sądzę, że nie myślisz o niczym innym, jak tylko o swym ubóstwie. Znasz może słowa, które napisał o swoich rodzicach pisarz Fryderyk Hebbel, pochodzący z ubogiej rodziny? Mówił on — „U moich rodziców bieda zajęła miejsce duszy“. Znasz to?

H. To jest straszne zdanie, które musi wstrząsnąć.

F. Pozwól jednak — pomyślmy trochę nad tymi słowami! Pisarz chce powiedzieć, iż w jego rodzicach zamarła dusza. Czy możesz sobie wyobrazić, co to oznacza?

H. Sądzisz, że coś podobnego jest możliwe?

F. W ostatecznym i absolutnym znaczeniu jest to oczywiście niemożliwe, ponieważ dusza człowieka jest nieśmiertelna, dlatego niezniszczalna. Ale jeżeli bieda zajmuje miejsce duszy, albo żeby powiedzieć dokładniej, jeżeli ona tak duszę wypełnia, że nic innego w jej obszarze nie ma, niż myśl o ubóstwie, o nędzy, wówczas nie ma już w nas Wiary, Nadziei i Miłości. Nasze myśli, uczucia, pragnienia krążą tylko wokół nędzy. Ona jest tą sprężyną wszystkich naszych czynności, wszystkich naszych rozstrzygnięć, wszystkich naszych pragnień, które w nas są. Zatracamy zmysł do rzeczy duchowych i wiecznych dóbr życia. Przede wszystkim jednak tracimy Boga, źródło wszystkich tych dóbr i wzrok swój kierujemy ostatecznie tylko na rzeczy przemijające.

Kto żyje w takim stanie, temu zdaje się, że Bóg nie ma już Mocy. Jest on tyranizowany przez demona bieddy i skutkiem tego popada w zwątpienie i brak odwagi, lub z drugiej strony w żądzę posiadania i bogactwa, lub w zazdrość i nienawiść. Bóg zaś, Ojciec Miłości i sprawiedliwości Boża w jego mniemaniu nie istnieją. Zna on tylko jeszcze boga tego świata, mamone. Jest przez niego w równym stopniu tyranizowany jak wielu bogaczy, jest opanowany przez swoją chciwość, żądzę mienia i brak serca.

H. Wobec tego nędza i bogactwo są podobnym przekleństwem?

F. Tak, one mogą być nawet najcięższym przekleństwem. Ale pozostańmy przy niebezpieczeństwach nędzy, ubóstwa. Skąd przychodzi wobec tego ubóstwo?

H. Powiniennem więc powiedzieć: Od Boga!?

F. Musiałeś nawet to powiedzieć! Ponieważ wszystko przychodzi od Boga. Przychodzi albo według planu Jego Opatrzności, albo przynajmniej z dopuszczenia Bożego. I wtedy zostaje przez Niego podporządkowane

Jego Opatrzności. Kto przeto buntuje się przeciw swemu ubóstwu, buntuje się przeciw Bogu.

H. Czy wobec tego nie wolno mi nie czynić aby pokonać swoją nędzę?

F. Tak nie można powiedzieć. Zrozumiałe, że mamy prawo, o ile to jest w naszej mocy, polepszać swoje warunki życiowe, naturalnie tylko tak dalece jak to jest osiągalne środkami dobrymi, albo przynajmniej zwyczajowo dozwolonymi. Wolno nam także prosić Boga o odwrócenie nędzy.

H. Jak często to robiłem! I przecież pozostało wszystko tak jak był.

F. Proszę, nie zapominaj, że do wszystkich naszych próśb, które kierujemy do Boga, tę jedną musimy dołączyć: „Nie moja wola, ale Twoja niech się stanie!“

H. Ale czyż nie oznacza to uprzedniego przekreślenia wysłuchania modlitwy?

F. Nie, to jest o wiele bardziej prawdziwe zaufanie Bogu! Tak modlił się Zbawiciel aż do Krzyża, aż do ostatniego tchnienia swego życia. „Ojciec oddaję ducha Meego w Twoje ręce“. Tam też powiedział Zbawiciel: „W Twoich rękach jest mój los“.

H. Czy Bóg zsyła nam więc ubóstwo, abyśmy uczyli się ufności Bożej i cierpliwości?

F. Tak jest. To odnosi się do ubóstwa tak samo jak w stosunku do każdego cierpienia, które Bóg nam zsyła. Czy nie uderzyło cię to, że Pismo św. właśnie tak cenit ubogich duchem, a tak wiele słów pośpiecia ma dla bogaczy?

H. Zawsze stanowiło to przedmiot mego zastanowienia.

F. Przez to cały nasz pogląd na świat zostaje postawiony na głowie. Dlatego Pismo św. tak wynosi ubogich duchem?

F. Ponieważ w ubóstwie może być wielka Łaska. To, że możemy w nim się uczyć ufności Bogu i cierpliwości jest już niewypowiedzianym zyskiem, który ubóstwo w sobie zawiera, ponieważ te obydwie cnoty mogą tak nasze życie zmienić. Z życia przeklętego mogą one uczynić życie błogosławione.

H. Gdy tak to przedstawiasz, odczuwam, jakby to wszystko co nas otacza nabrało nowej wartości, jakbyśmy już mogli otrzymać trochę z tej wielkiej rzeczywistości Bożej.

F. O to w gruncie rzeczy chodzi, żebyśmy z naszego ziemskiego świata, w którym jesteśmy uwięzieni przez rzeczy ziemskie, odnaleźli drogę w świat Boga, do którego w wieczności należymy.

H. Tak więc ubóstwo uwalnia nas od nas samych i zamyka naszą duszę w Bogu?

F. Tak, to właśnie ono powoduje. Nikt zapewne nie jest tak zależny od Boga i tak zwrócony ku Bogu jak biedny. Ale właśnie przez świadomość tej zależności chce nas Bóg przez ubóstwo wychowywać. Człowiek, który żyje w dostatnich warunkach skłania się zawsze do wyobrażenia, że jest sam wyłącznie panem swego losu, ponieważ zbyt łatwo wyobraża sobie, że nie potrzebuje Boga. Dlatego ciągle rozbija znowu Bóg człowiekowi zapewnione warunki życia i czyni go ubogim.

H. Czy sądzisz, że także na tej podstawie spokał nas los nędzy?

F. O tym jestem nawet mocno przekonany. Bóg uczynił nas ubogimi, aby nam pokazać jak bogactwami może nas uczynić.

H. Czy wobec tego nasze ubóstwo miałoby być rzeczywiście tylko stopniem do nowego i innego bogactwa?

F. Tak, o tym bogactwie mówi także Apostoł Paweł, kiedy zalicza siebie do biednych, którzy czynią wiele bogactwa i mówi o Chrystusie, że był biedny, abyśmy przez Jego ubóstwo stali się bogatymi.

H. Komu zostało to w jego ubóstwie użyczone ten, owszem, ma bogactwo, ten wszystkie ziemskie bieddy tysiąc razy pokona. Ale jak ja do takiego bogactwa dojdę w mojej nędzy?

F. Jest jedna prosta droga: musisz więcej myśleć o życiu wiecznym niż o ziemskim, więcej o duszy niż o ciele, więcej o Bogactwie Bożym niż o dobrach ziemskich.

Musisz zabić swe ziemskie żądze i swój wzrok, swe pragnienia, swą tęsknotę, całkowicie ku temu skierować, co jest nieprzemijające i oświecić się w tym, aby coraz bardziej żyć ze Źródeł Wieczności. Musimy całym naszym życiem i jestestwem być niezależni od rzeczy ziemskich, tak jak Apostoł Paweł, który mówił o sobie: „Wiem gdzie się zwrócić w potrzebie i w dostatku. Mogę być syty lub głodny, mieć nadmiar lub cierpieć niedostatek, zniosę wszystko przez Tego, który mnie wzmacnia“.

Przez tę wewnętrzną wolność wszystko przychodzi. Tę wolność posiadli wszyscy ci mężczyźni i kobiety, których czcimy jako świętych! Ona daje Kościołowi Chrystusowemu Jego zwycięską moc. Ale ta wolność najkorzystniej rodzi się w ubóstwie. Ponieważ zewnętrzne ubóstwo jest wychowawczynią wewnętrznego ubóstwa.

H. Na czym polega to wewnętrzne ubóstwo?

F. Jest ono świadomością, że jesteśmy zupełnie i całkowicie od Boga uzależnieni, tak że nic z samych siebie nie mamy, niczego z samych siebie nie możemy i niczym z samych siebie nie jesteśmy, ale przeciwnie na każdym kroku, każdym naszym tchnieniem zdani jesteśmy na Pomoc i Łaskę Boga. To co mamy, to mamy od Boga, co możemy, to możemy przez Boga, czym jesteśmy, jesteśmy z Boga, a to co w nas nie pochodzi od Boga, to jest też nie warto.

H. Więc ta świadomość naszego ubóstwa jest stopniem do bogactwa Łaski, którą Bóg nas chce obdarowywać?

F. Tak, bez tego aby być wewnętrznym ubogim nie może nikt stać się wewnętrznym bogatym. Ale nie tylko dla naszych własnych pragnień potrzebujemy tego wewnętrznego ubóstwa, lecz jest ono siłą, która odnawia i zmienia świat i czyni go światem Bożym. Chrystus był najbiedniejszym wśród ludzi, ale nikt nie uczynił ludzi tak bogatymi i światu tak wiele nie dał jak On. Apostołowie i niezliczeni święci naszego Kościoła byli w tym Jego następcami. Pomyśl o Franciszku z Assyżu i Dominiku! Jak wielka siła odnawiająca świat szła od nich Bogactwu świata ziemskiemu przepychowi i mocy, zagubionemu w świecie Kościołowi przeciwstawili oni swoje ubóstwo i wszędzie rozżarzało się przez nie nowe życie. Dziś stoi świat znów w godzinie rozstrzygnięcia. Po nadmiarze bogactwa przeszło przez ludzkość ubóstwo. To jest krok Boga przez nasz czas.

H. Ale czy Bóg znajdzie ludzi, którzy Jego krok podejmą i dadzą się wezwać przez Niego? Czy ubóstwo stanie się znowu siłą zwycięską, która porwie świat do odnowienia?

F. Pozwól nam najpierw usłyszeć wołanie Boże i za nim pójść! Pozwól nam dziękować Bogu, że nas chce błogosławić w naszych ubo-

stwie i naszych współbraci uczynić błogosławionymi. I pozwól nam prosić, abyśmy i my i inni stali się godnymi tego błogosławieństwa

F. Richter

**

Zamieszczony powyżej artykuł został opublikowany w piśmie „Petrusblatt“ wychodzącym w zachodniej strefie Berlina. Pismo to jest organem Kurii Berlińskiej, nosi podtytuł: „Katholisches Kirchenblatt für das Bistum Berlin“. Fakt, że organ kościelny opublikował ten artykuł jest dla nas zjawiskiem bolesnym i wysoce niepokojącym. Jest to bowiem wypowiedź w wysokim stopniu fałszywa i szkodliwa. Udowodnieniu tego, że ocena ta nie wynika z jakichś uprzedzeń, że przeciwnie jest dowodem rzeczywistej troski o niefalszowanie społecznych na kazów naszej wiary niech posłużą poniższe uwagi.

Bieda pochodzi od Boga, przeciwstawianie się jej, jest więc buntem przeciw woli Boga. Oto główne teza artykułu. Trafne obserwacje jak niszcząco wpływa nędza materialna na rozwój wewnętrznego człowieka, jak uniemożliwia podnoszenie życia ku Bogu posłużyły do wyciągnięcia z gruntu fałszywego wniosku.

Niedostatek materialny, którego tak tragiczne konsekwencje autor obrazuje w pierwszej części artykułu nazywa następnie „wychowawczynią wewnętrznego ubóstwa“. Dobrowolnie przyjęte na siebie ubóstwo utożsamia z życiem w warunkach przymusowego niedostatku i upośledzenia. Człowiekowi, który cierpi niedostatek, który cierpi go w obliczu niewspółmiernych dysproporcji materialnych istniejących w tym samym społeczeństwie zaleca modlitwę i polepszenie swego dobrobytu „środkami dobrymi a przynajmniej zwyczajowo dozwolonymi“. Tych „zwyczajowych“ środków nie precyzuje, to nie zajmuje nawet jego uwagi, lecz wiemy dobrze co to określenie oznacza. Jest to po prostu przeciwstawienie się radykalnym przemianom społecznym, które zmieniają ten „zwyczajowo“ usankcjonowany porządek rzeczywistości.

Odcyfrujmy więc niedwuznacznie ową tezę, że bunt przeciw własnej biedzie jest buntem przeciw Bogu.

Jest to teza — nie przesadzamy tego, świadomie czy nieświadomie — służąca interesom materialnym warstw posiadających przeciw warstwom upośledzonym. Nadużyto tu wyraźnie imienia Boga. Posłużono się nim dla pokrycia interesów materialnych określonej grupy społecznej. Aby zrozumieć prawdziwy sens tej tezy trzeba słowo Bóg zastąpić słowem warstw posiadające.

Wygłoszoną w artykule tezę nazwalibyśmy z gruntu fałszywą. Nie używamy tego ostrego określenia, choć boli nas bardzo fakt, że skierowane jest ono do pisma katolickiego. Takich nadużyć nie wolno jednak przemilczeć. Nie wolno dopuszczać do mnożenia się wstecznych i szkodliwych poglądów o społecznych nakazach naszej wiary. Wystarczająca zaś ocena moralna tezy artykułu w „Petrusblatt“ zawierają słowa ks. F. Machaya a tak określające podobne metody tłumaczenia zasad Pisma Św.:

„W ten sposób pozbywać się i usuwać od pracy nad poprawą by-

tu materialnego klas ubogich i nie posiadających jest karygodną egzegezą Pisma Świętego“.

Biednych i ubogich duchem — te dwa różne pojęcia wtłoczył autor w jedne ramy. Przymusowy niedostatek nazwał drogą do wewnętrznego ubóstwa. Uświadomienie jak fałszywy jest ten wniosek niech posłużą tu słowa jednego ze znanych teologów, O. Schulte, który tak pisze: „Chrystus pochwałiał ubogich w duchu, ale nie pochwałiał ubóstwa jako takiego. Niszczy ono cielesne i duchowe życie; chleb duchowy, wiara, a nawet sama codzienna duchowa Komunia Św. dalekie są od tego, aby żywiły i nasyciły ciało. Głód i pragnienie ciała wywołują ostatecznie niepowstrzymane parcie rewolucyjne, które żąda stanowczego zaspokojenia. Jeżeli w takim położeniu szuka ktoś w religii światła, równowagi, pociechy i siły to zasługuje na nazwę prawdziwego heroizmu“. O tym duchowi i świeccy katolicy powinni dobrze pamiętać. Z tego wynika bowiem logiczny i prosty nakaz starania się o polepszenie warunków bytowania i zniesienie dysproporcji materialnych.

P. Richter każe zwrócić się do modlitwy, do życia wewnętrznego nie zastanawiając się na chwilę, czy rozwinięcie go w sposób pełny jest w takich warunkach w ogóle możliwe. Więcej, szkodliwie ustawia modlitwę jako coś co może zastąpić walkę o polepszenie bytu materialnego. Szkodliwie dlatego że w ten sposób zniekształca istotę naszej wiary i czyni ją czymś przeciwstawnym staraniu o lepsze warunki życia, czymś paraliżującym społecznie wyzwolenie i działanie warstw upośledzonych.

Istota naszej wiary jest inna. Modlitwa nie zuboża człowieka. Nie odciąga go od realizacji nakazów społecznej sprawiedliwości, ale czyni tę walkę ziemską człowieka pełniejszą. Ukazując ponadziemskość życia ludzkiego, nasza wiara mówi nam, że służyć temu celowi to znaczy służyć bliżnim, to znaczy realizować przykazania społecznej miłości. Dlatego modlitwa jest czymś innym, dlatego pogłębiania indywidualnego obcowania z Bogiem pod grozą wypaczenia Jego nakazów nie wolno postulować jako czegoś, co ma oderwać człowieka od Jego służby bliżnim, od Jego walki o realizowanie społecznej sprawiedliwości.

„Bieda pochodzi od Boga. Bóg by oderwać człowieka od zagubienia się w materii rozbił siate jego warunki życiowe“. To jeszcze jedyna z błędnych tez jeśli się ją ustawia w takim kontekście jak to czyni artykuł „Petrusblattu“. Z faktu, że wszystko co dzieje się we wszechświecie jest Bogu władne i w ostatecznej instancji Jemu podporządkowane, nie można wysnuwać absurdałnego zgola twierdzenia, że wszystkie zło jakie na ziemi czynią ludzie jest przez Jego działanie, a nie przez naszą złą wolę czy ułomność zdołami-nowane. Jakżeż blisko od ustawiania takich twierdzeń w takim kontekście do przypisywania Bogu naszych grzechów, przewinień i zaniedbań. Oslaniać Jego autoritetem zbrodnie i wypaczenia ludzkości — to po prostu odbierać jej wiarę w Niego i zniekształcać jej sens.

(Dokończenie na str. 12)

„Petrusblatt“.

Katholisches Kirchenblatt
für das Bistum Berlin
z 7 maja, 1950 r.
Nr 19.

POSŁUCHAJCIE co wam tu opowiem:

Jan Józef Szczepański

STARA BABA,

(Baika plemie)

Przez kraj Matusu wędrował człowiek pozbawiony wzroku, makapho. Makapho wszedł przez birni (bramę) do miasta. Makapho spotkał wkrótce starą kobietę, która miała swój dom w pobliżu muru miejskiego. Makapho szedł ulicą. Stara kobieta spostrzegła że człowiek ten jest ślepy. Stara kobieta rzekła: to dobrze.

Stara kobieta podeszła do makapho i rzekła: — jesteś ślepcem! Każdy świadczy ślepcowi dobro. Allah mi wynagrodzi jeśli cię przyjmę w moim domu. Chodź ze mną i mieszkać u mnie.

Makapho rzekł: — dobrze, będę u ciebie mieszkał. Nie mam nic więcej prócz tego kosza. — Stara rzekła: — chodź więc. Zaprowadzę cię do izby. — Stara przyprowadziła ślepcę do izby.

Makapho rzekł do starej kobiety: — zaraz wyjdę i spróbuję, czy nie uda mi się czego uzbierać. W tym koszu przyniosłem tylko jedną kurkę. Czy mógłbym wyjąć kurkę, dołączyć jej i przekonać się, czy znosi jajka? — Stara kobieta rzekła: — Tak będzie. Allah wynagrodzi mi, jeśli będę dbała o ciebie i o twoją kurkę. — Stara wzięła kurkę. Makapho odszedł. Kiedy ślepiec wyszedł, stara złapała natychmiast kurkę, zabiła ją i przygotowała smaczny posiłek. Potem zjadła kurkę.

Ślepiec spędził cały dzień na targu, a wieczorem wrócił do starej kobiety. Makapho rzekł: — co słychać z moją kurką? Stara kobieta rzekła: — ach kura, kura! Niestety kura! Mój makapho, wyobraź sobie, mussuru złapał twoją kurkę i pożarł ją. Ślepiec rzekł: — Allah wynagrodzi mi moją kurkę.

Następnego dnia wstał ślepiec wcześniej rano. Rzekł on do starej: — zaraz wyjdę i spróbuję czy nie uda mi się czego uzbierać. — Stara kobieta rzekła: — zrób tak mój makapho; ślepcemu każdy chętnie daje. Idź na pewno obdarują cię bogactwami. Ślepiec poszedł. Ślepiec szedł przez miasto. Ślepiec spotkał bogacza. Bogacz podarował ślepcowi kozę i rzekł: — weź kozę. Allah wynagrodzi mi to. — Makapho wziął kozę. Makapho poszedł z kozą do domu.

Makapho przyszedł z kozą do domu. Rzekł on do starej: — czy mogłabym wziąć moją kozę i dbać o moją kozę? — Stara rzekła: — tak będzie Allah wynagrodzi mnie jeśli będę dbała o ciebie i o twoją kozę. Stara wzięła kozę. Ślepiec odszedł znowu. Kiedy ślepiec poszedł, stara kobieta zabrała natychmiast kozę i zaprowadziła ją do rzeźnika. Sprzedała kozę rzeźnikowi. Rzeźnik zabił zwierzę i sprzedał jego mięso.

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety. Makapho spytał: — co słychać z moją kozą? — Stara rzekła: — ach kozo, kozo! Niestety kozo! Mój makapho, wyobraź sobie, kurra (hiena) złapała kozę i rozszarpała ją. Ślepiec rzekł: — Allah wynagrodzi mi moją kozę!

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety. Makapho spytał: — co słychać z moją kozą? — Stara rzekła: — ach kozo, kozo! Niestety kozo! Mój makapho, wyobraź sobie, kurra (hiena) złapała kozę i rozszarpała ją. Ślepiec rzekł: — Allah wynagrodzi mi moją kozę!

Opracowane na podstawie tekstu niemieckiego (Leo Frobenius „Das sterbende Afr'ka").

Następnego ranka wstał ślepiec wcześniej i rzekł do starej: — zaraz wyjdę i spróbuję, czy nie uda mi się czego uzbierać. Stara rzekła: — zrób tak mój makapho. Każdy chętnie daje ślepcowi! Idź! Zostańiesz hojnie obdarowany. — Ślepiec poszedł. Ślepiec szedł przez miasto. Ślepiec spotkał pewnego madugu. Madugu przybył właśnie do miasta z wielu obładowanymi osłami. Madugu sprzedał wszystko i był teraz bogaty. Madugu przeliczył swoje zyski. Madugu spostrzegł ślepcę. Madugu wziął jednego osła, podarował go ślepcowi i rzekł: — weź tego osła! Allah nagrodzi mnie za to! Makapho wziął osła. Makapho poszedł z osłem do domu.

Makapho wrócił z osłem do domu i rzekł do starej kobiety: — czy mogłabym wziąć mego osła i dbać o mego osła? — Stara rzekła: — tak będzie. Allah wynagrodzi mnie jeśli będę dbała o ciebie i o twojego osła. Stara wzięła osła. Ślepiec odszedł znowu. Kiedy ślepiec odszedł, stara wzięła natychmiast osła i zaprowadziła go na ssongo (targ bydły). Przybywszy na ssongo zapytała: nie ma tu kogo, kto by chciał kupić dobrego osła? Ludzie zeszli się i oglądali osła. Pewien człowiek kupił osła. Stara wzięła pieniądze i wróciła do domu.

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety i zapytał: — co słychać z moim osłem? — Stara rzekła: ach osioł, osioł! Niestety osioł! Dałam mu żreć. Dałam mu na pewno za dużo żreć. Osioł nabrał wielkiej sily, zerwał sznur i uciekł. Makapho rzekł: — w takim razie pójdę i poszukam go. — Stara rzekła: — mój biedny makapho! Pamiętaj, że jesteś ślepy. Biegałam wszędzie naokoło i szukałam osła. Widzę przecież, a jednak nie znalazłam go. Jakżeż ty, makapho mógłbyś go znaleźć? — Ślepiec rzekł: — masz rację. Ale Allah wynagrodzi mi stratę mego osła.

Następnego dnia wstał ślepiec wcześniej rano i rzekł do starej kobiety: — zaraz wyjdę i spróbuję, czy nie uda mi się czego uzbierać. Stara odparła: — zrób tak, mój makapho. Każdy chętnie daje ślepcowi. Idź, obdarują cię hojnie! — Ślepiec poszedł. Ślepiec szedł przez miasto. Ślepiec spotkał galadimę (burmistrza). Pierwsza żona galadimy urodziła właśnie dziecko. Był to pierwszy syn galadimy. Wszyscy ludzie zblizali się i składali galadimie powinszowania. Galadima zapraszała do siebie wszystkich bogatych ludzi. Galadima dostrzegł ślepcę. Galadima rzekł: — dajcie konia ślepcowi. Daruję mu go. Allah wynagrodzi mnie za to. — Makapho wziął konia. Makapho poszedł z koniem do domu.

Makapho przyszedł z koniem do domu i rzekł do starej: — czy możesz wziąć mego konia? Czy możesz

głośno, żeby wszyscy ludzie słyszeli. — Ślepiec rzekł: — ja tylko pytam, co słychać z moim koniem? — Stara rzekła: — cicho bądź! Mówię ci cicho bądź, żeby cię ludzie nie słyszeli. Pewien możny tego miasta przechodził tędy. Wielki człowiek ujrzał konia. Wielki człowiek zabrał konia ze sobą. — Ślepiec rzekł: — natychmiast pójdę dowiedzieć się o konia, którego podarował mi galadima. — Stara rzekła: — mój biedny makapho! Pamiętaj, że jesteś ślepy. Pamiętaj, że tamten jest możnym tego miasta. Kiedy pójdziesz do niego, zrobi nam jeszcze większą krzywdę. — Ślepiec rzekł: — masz rację. Jestem ślepy. Ale Allah wynagrodzi mi stratę mego konia

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety. Ślepiec zapytał: — co słychać z moim koniem? — Stara rzekła: — cicho bądź. Nie mów tak

mocno spętać mego konia i dbać o mego konia? — Stara rzekła: — tak będzie. Allah wynagrodzi mnie, jeśli będę dbać o ciebie i o twojego konia. Stara wzięła konia. Ślepiec odszedł znowu. Kiedy ślepiec oddalił się, stara kobieta zabrała konia i poszła z nim do serki kassua (naczelnika targu). Stara rzekła do serki kassua: — oto jest dobry koń. Pewien cudzoziemiec prosił mnie że bym mu go sprzedała. — Serki kassua przyjrzał się koniowi. Stara rzekła: — widzisz sam, że koń jest młody. — Serki kassua przyjrzał się koniowi. — Stara rzekła: — widzisz sam, że koń jest duży. — Serki kassua przyjrzał się koniowi. Stara rzekła: — widzisz sam, że koń jest silny. — Serki kassua przyjrzał się koniowi. Serku kassua kupił konia. Stara zawołała dwóch ludzi, żeby nieśli za nią pieniądze do domu

Wielbiada. Allah wynagrodzi mi to, Idź, obdarują cię hojnie. — Ślepiec poszedł. Ślepiec szedł przez miasto. Ślepiec przybył do domu krola. Był to dzień wielkiego salla (święta dorocznego). Wszyscy znamienici i bogaci ludzie przychodzili do krola i pozdrawiali go. Krol każdego zapraszał do jada. Krol każdemu dawał podarki — jednemu konia, innemu szalę. Makapho siedział u bramy. Krol spostrzegł ślepcę. Krol rzekł: — zawołajcie mi ślepcę! — Ludzie przyprowadzili ślepcę do niego. Krol rzekł: — obchodzimy wielkie salla. Chcę zrobić ślepcowi wielki podarunek. — Krol rzekł: — przywieźcie mi tu dziewczę. Przywieźcie mi jedną z najpiękniejszych moich dziewcząt. — Ludzie przyprowadzili dziewczę. Krol przyjrzał mu się. Krol rzekł: — tak, to właśnie to o które mi chodziło. Chcę podarować najpiękniejsze dziewczę ślepcowi. Mój makapho weź to dziewczę i ożeń się z nim. Daruję ci je. Allah wynagrodzi mnie za to. — Makapho wziął dziewczę. Makapho poszedł z nim do domu.

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety. Ślepiec zapytał: — co słychać z moim koniem? — Stara rzekła: — cicho bądź. Nie mów tak



Makapho przyszedł z dziewczęciem do domu i rzekł do starej kobiety: — przypatrz się dziewczęciu. To jest piękne dziewczę. Dzisiaj jest dzień wielkiego salla. Krol podarował mi ją, abym ją poślubił. Czy będziesz dbać o dziewczę? — Stara kobieta rzekła: — mój makapho, będę dbać o dziewczę tak, że nawet sobie tego nie wyobrażasz. Zobaczysz, kiedy wrócisz. Allah mnie słyszy. — Ślepiec rzekł: — przyrzeknij, że żadne zwierzę jej nie porwie. Przyrzeknij, że żaden człowiek jej nie zabierze. Przyrzeknij, że się nie zgubi. — Stara kobieta rzekła: — żadne zwierzę jej nie porwie, jeśli nie uważasz mnie za zwierzę. Żaden człowiek jej nie zabierze, jeśli mu jej sama nie dam. Musiałabym być gorsza od diabła, gdyby miała się zgubić! — Ślepiec rzekł: — nikt w to nie uwierzy, żebyś była gorsza i silniejsza od diabła. Masz, bierz dziewczę. — Ślepiec oddalił się znowu.

Gdy ślepiec odszedł, rzekła stara kobieta do dziewczęcia: — jesteś bardzo pięknym dziewczęciem. Obiecuję ci, że będę dbać o ciebie. Będę dbała o ciebie. Czy chcesz go dziś poślubić? — Dziewczę rzekło: — krol powiedział, że mam go dziś poślubić. Poślubię go dzisiaj. — Stara rzekła: — wobec tego poczekaj tu chwileczkę. — Stara kobieta zamknęła dziewczę w domu. Stara kobieta pobiegła do pewnego młodzieńca, który miał wiele pieniędzy, chodził zawsze w pięknych szatach, a wieczorem przebywał z pięknymi dziewczętami. Dom młodzieńca woniał tyle w nim rozlewano muardi (pachnidła). Stara kobieta pobiegła do tego młodzieńca.

Stara kobieta rzekła do młodzieńca: — czy zostało ci jeszcze coś z tego co odziedziczyłeś po twoim ojcu? — Młodzieniec rzekł: — jaką to dziewczynę chcesz mi przyprowadzić? — Stara rzekła: Jest to dziewczę, które przewyższa wszystkie dziewczęta w mieście. — Młodzieniec rzekł: — cóż to za dziewczę? — Stara kobieta rzekła: — To dziewczę jeszcze nigdy nie było z mężczyzną. — Młody człowiek rzekł: — mam jeszcze dobrą część tego, co zostawił mi mój ojciec. — Stara rzekła: — ponieważ dziewczyna ta jest najpiękniejsza ze wszystkich, krol sam podarował ją pewnemu człowiekowi z okazji wielkiego salla. Ale człowiek ten nie dostanie jej. — Dam ci 500.000 kauri. — rzekł młodzieniec. Stara kobieta rzekła: — dla tego, kto ją otrzyma, dziewczę będzie najprzedniejszym przysmakiem. Nigdy się nie przeje. —

Nowość

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

opowiadania

**NAJWIEKSZA
MIŁOŚĆ**

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX”. Inst. Wyd.
Skład główny: Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań,
św. Marcina 34.

„Veritas”, Warszawa, ul. Widok 5.

Nowość

głośno, żeby wszyscy ludzie słyszeli. — Ślepiec rzekł: — ja tylko pytam, co słychać z moim koniem? — Stara rzekła: — cicho bądź! Mówię ci cicho bądź, żeby cię ludzie nie słyszeli. Pewien możny tego miasta przechodził tędy. Wielki człowiek ujrzał konia. Wielki człowiek zabrał konia ze sobą. — Ślepiec rzekł: — natychmiast pójdę dowiedzieć się o konia, którego podarował mi galadima. — Stara rzekła: — mój biedny makapho! Pamiętaj, że jesteś ślepy. Pamiętaj, że tamten jest możnym tego miasta. Kiedy pójdziesz do niego, zrobi nam jeszcze większą krzywdę. — Ślepiec rzekł: — masz rację. Jestem ślepy. Ale Allah wynagrodzi mi stratę mego konia

Następnego ranka wstał makapho wcześniej i rzekł do starej kobiety: — zaraz wyjdę i spróbuję, czy nie uda mi się czego uzbierać. Stara rzekła: — zrób tak mój makapho! Każdy chętnie daje ślepcowi. Idź, obdarują cię hojnie! — Ślepiec poszedł. Ślepiec szedł przez miasto. Ślepiec spotkał plac targowy. Ślepiec szedł dalej. Drogę zajęli mu jeźdźcy i żołnierze. Sam jerima (dowódca wojska) w otoczeniu swej lifidi (drużyny) zblizal się z przeciwka. Jerima wracał z wojny. Jerima zburzył pewne miasto i zdobył konie i wielbiada. Jerima zoczył ślepcę. Jerima skinął na jednego ze swych ludzi i rzekł: — przyprowadź mi tego wielkiego wielbiada, któregośmy przywieźli. — Przyprowadzono mu wielbiada. Jerima podarował wielbiada ślepcowi i rzekł: — weź

biada zaczęła wzywać ludzi, którzy przechodzili opodal. Stara mówiła: — chodźcie, chodźcie, wielbiad ślepego człowieka zdycha. Chodźcie i dobiejcie go, żeby się nie męczył. Ludzie zbiegli się dookoła. Ludzie zobaczyli, że wielbiad ślepcy jest bardzo chory. Ludzie zakłuli wielbiada swymi włóczniami. Potem związali prowizem nogi wielbiada i zaciągnęli go do miasta. Przywlekli go pod dom staruchy. Stara kobieta rzekła: — zostawcie wielbiada tutaj pod drzwiami. — Stara kobieta rzekła: — Allah wynagrodzi wam tę przysługę, która oddaliście ślepcowi.

Wieczorem wrócił makapho do starej kobiety. Makapho potknął się o nogi martwego wielbiada. Makapho rzekł: — kai! (hej) stara babo! Kładziesz szczapy pod drzwiami domu. Kiedy mieszka u ciebie ślepiec. Czy chcesz żeby ślepiec przewrócił się i połamał sobie kości? Stara kobieta rzekła: — czy widziałeś już kiedy szczapy, które moją nogi i głowę? Ślepiec rzekł: — a cóż to jest? — Stara rzekła: — pomacaj, a dowiesz się. Drzewo jest twoim wielbiadem. Wielbiad zdechł. Dano ci rannego wielbiada. Tu na boku miał kakapho (ranę od włóczni). Ślepiec pomacał wielbiada, Ślepiec skinął głową. Ślepiec rzekł: — Allah wynagrodzi mi stratę mego wielbiada.

Następnego dnia wstał ślepiec wcześniej rano i rzekł do starej kobiety: — wyjdę zaraz i spróbuję czy nie uda mi się czego uzbierać. — Stara rzekła: — zrób tak mój makapho. Każdy chętnie daje ślepcowi!

SLEPIEC I DIABEL*)

nia Haussa)

Młodzieniec rzekł: — obejdę moich przyjaciół i pożyczę sobie pieniądze. Na razie podaruję ci 200.000 kauri. — Stara rzekła: — czy przyniesiesz potem pieniądze? Młodzieniec rzekł: — poślę ludzi, którzy przyniosą je tobie. — Stara rzekła: — to będzie dobrze.

Stara kobieta wróciła do siebie. Stara kobieta otworzyła swój dom. Stara kobieta usiadła koło dziewczęcia na łóżku. Stara kobieta rzekła do dziewczęcia: — czy widziałas tego człowieka, którego masz dzisiaj poślubić? Dziewczę rzekło: — widziałam makapha. — Stara rzekła: — znam pewnego młodzieńca, który jest duży i piękny. Ręce jego są białe. Jego twarz jest biała, jak twarz kobiety Szua (Arabki). Młodzieniec jest bogaty. Jego dom pachnie w całą dzielnicę, tyle się tam rozlewa muardi. Jego ludzie jedzą codziennie dobre mięso, a niewolnicy jego dostają żony. Wszystkie kobiety w mieście latają za tym młodzieńcem, a karua*) chętnie dałyby mu dużo pieniędzy, żeby tylko chciał zawezwać którą do siebie. Ale on ma już ich wszystkich dość. Spytał się mnie właśnie, czy nie znam jakiego ładnego dziewczęcia, które nadałoby się na żonę dla niego.

Dziewczę spytało: — czy ten młody człowiek mieszka tu w mieście? Stara kobieta rzekła: — tak, ten młody człowiek mieszka w tym mieście. A teraz powiedz mi moja śliczna dziewczeczko, czy wiesz ty o tym, że ten twój makapho nie ma i codziennie wychodzi żebrząc? — Dziewczyna rzekła: — tak, wiem o tym. — Stara kobieta rzekła: — wobec tego wiesz chyba, że będziesz musiała go prowadzić! Wiesz także, że będziesz musiała chodzić w starym odzieniu, ponieważ on jest biedny? — Dziewczyna rzekła: — tak, wiem o tym. — Stara kobieta rzekła: — Widziałas makapha. Wiesz, że jego ubranie jest stare i podarte. Zauważyłaś, że ma on strupy na stopach i na udach i na ramionach, bowiem ślepiec potyka się o kamienie na ulicy i obija się o drzewa i mury. — Dziewczyna rzekła: — wiem o tym. — Stara kobieta rzekła: — jeżeli kiedyś uda ci się zdobyć ładną suknię, albo jeżeli pięknie ozdobisz swoje włosy, nie będzie on tego widział. Kiedy z wielkim nakładem trudu umalujesz sobie zęby, nie będzie on tego widział! Kiedy czernidłem koli podkrążysz sobie oczy, nie będzie on tego widział! Kiedy uszmiłkujesz czoło szminką katambiri, nie będzie on tego widział! Gdy będziesz się śmiała, nie będzie on tego widział, a także nie będzie słyszał, bowiem musi cały czas myśleć o tym, aby ludzie dali jemu i tobie coś do zjedzenia. Kiedy zapłaczesz, będzie cię bił i będzie mówić: „jak możesz płakać widząc! Ja jestem biedny i ślepy, a nie płaczę!”. A kiedy urodzisz dzieci, odejdzie od ciebie mówiąc: „jakże mogę użebrać jeszcze więcej jedzenia?”. Lub też pośle swoje dzieci na ulicę, aby same żebrały na siebie. — Wiesz ty o tym?

Dziewczyna rzuciła się na ziemię płacząc i krzycząc: — moja stara matko! Błagam cię! Błagam cię! Zaprorowadź mnie szybko do młodzieńca. — Stara rzekła: — poczekaj trochę! — Stara kobieta wyszła. Stara kobieta przyniosła katambiri i uszmiłkowała nim czoło pięknego dziewczęcia. Przyniosła koli i uczerniła nim jego oczy. Przyniosła suknię i odziała nią dziewczynę. Przyniosła chustkę i przystroiła nią głowę pięknej, młodej dziewczyny.

Młody człowiek biegał po mieście i prosił swych przyjaciół: — pożyczcie mi parę tysięcy kauri, będziemy mieli nową dziewczynę u mnie w domu. — Niektórzy pożyczali mu 2.000 kauri, inni pożyczali mu 5.000 kauri, inni pożyczali mu 10.000 kauri. Młody człowiek zebrał wszystkie pieniądze. Młody człowiek dołożył jeszcze do tego ostatek pieniędzy, które odziedziczył po swoim ojcu. Pieniądzy było za mało. Młody człowiek wezwał paru niewolników. Młody człowiek sprzedał jednego niewolnika. Młody człowiek przesał pieniądze starej kobiecie. Młody człowiek posłał starej kobiecie cztery suknie i dwa sznury pereł. Stara kobieta wzięła pieniądze. Stara kobieta schowała pieniądze. Stara kobieta wzięła jedną suknię i jeden sznur pereł dała je dziewczęciu. Stara kobieta rzekła: — młody człowiek przysłał ci to w podarunku. Włóż to. Teraz jesteś bardzo ładna. Chodź,

nie byłem monafiki (awanturnikiem oszustem). Nie byłem zły i dlatego Allah dbał zawsze o mnie. Poślubisz mnie, ale nie będziesz chodzić ze mną na ulicę, nie chcę bowiem aby łobuzy zaczepiały cię, a licznie spoufalaly się z tobą. Zostaniesz moją żoną w dnu wielkiego salla i dlatego Allah opiekować się będzie tobą i mną. Moja dziewczeczko nie wstydz się. Moja dziewczeczko, chodź do mnie! — Makapho rzekł: — moja dziewczeczko, gdzie jesteś? Moja dziewczeczko, jestem ślepy, to nie jest tak, jak kiedy inni ludzie się żenią. Moja dziewczeczko, chodź do mnie!

Makapho rzekł: — moja dziewczeczko, czy chcesz żebym cię znalazł?! Już idę moja dziewczeczko! — Ślepiec wstał. Ślepiec ruszył wzdłuż ściany. Ślepiec macał ścianę. Ślepiec przeszedł na drugą stronę. Ślepiec obmacywał drugą ścianę. Ślepiec obmacał wszystkie ściany i nie znalazł dziewczęcia. Makapho usiadł na



łóżku. Makapho rzekł: — moje dziewczę odeszło. Makapho wstał. Makapho wyszedł na podwórze. Wokół podwórza mieszkali jeszcze inni ludzie. Makapho rzekł do ludzi: — przyszedłem dziś rano z dziewczęciem. Król podarował mi dziewczę. Przyprowadziłem dziewczę tutaj i wyszedłem znowu, aby poszukać sukni ślubnej. Wróciłem z suknią ślubną. A teraz nie mogę znaleźć mojego dziewczęcia. Czy możecie mi powiedzieć gdzie jest moje dziewczę? — Niektórzy ludzie odrzekli: — nie wiemy. — Niektórzy ludzie odrzekli: — dziewczę pewnie odeszło. — Niektórzy ludzie rzekli: — może zabrano dziewczynę. — Niektórzy ludzie rzekli: — zdaje się, że ktoś mówił z dziewczyną. — Niektórzy ludzie rzekli: — to pewnie jakiś handel. — Pewien stary człowiek rzekł: — ślepego łatwo oszukać. — Pewien mały chłopiec rzekł: — widziałem jak ślicznie ubrano dziewczę. Bardzo ładnie wyglądała. — Makapho rzekł: — czy może mi kto dać bardzo mocnego kija? — Stary człowiek dał ślepcowi kija i rzekł: — Weź ten kij, ale uważaj, abyś nie miał do czynienia z alkalem (sędzią). Możliwe, że drzewo tego kija jest twardsze niż twój stary kij. — Ślepiec rzekł: — kij jest

dobry.

dobry.

Makapho wziął kij. Makapho odszedł rzekł: — teraz nadchodzi walka. — Stary człowiek rzekł: — mój makapho! Pamiętaj o alkalicie! — Ślepiec rzekł: — to nie jest sprawa alkalicie! — Ślepiec poszedł do starej kobiety. Ślepiec wszedł do izby starej kobiety. Stara kobieta rzekła: — Mój makapho, długo bawiłeś poza domem. — Ślepiec rzekł: gdzie jest dziewczę? Gdzie jest moje śliczne dziewczę? — Stara rzekła: — ach dziewczę! dziewczę! To nie było żadne dziewczę! To była karua! — Ślepiec zamknął drzwi za sobą i rzekł: — gdzie jest moje dziewczę? Gdzie jest moje śliczne dziewczę?! — Stara krzyknęła: — ach zła dziewczyna! To była bardzo zła dziewczyna! Miała falkę (kochankę) Fakka przyszedł tutaj. Dziewczyna chciała przebywać z fakką w twojej izbie. — Ślepiec podszedł do starej kobiety i rzekł: — gdzie jest moje dziewczę? Gdzie jest moje śliczne dziewczę? — Stara kobieta zaczęła wrzeszczeć: — ach, ta zła dziewczyna. Jakże mogłam zatrzymać tę złą dziewczynę? Jej fakka przyszedł. Jej fakka pobili mnie, a potem odeszli. — Ślepiec podniósł kij i rzekł: — moje dziewczę, gdzie jest moje śliczne dziewczę? — Stara kobieta rzuciła się na ziemię i krzyczała: — ach ta zła dziewczyna! Ograbiła mnie. Zabrała mi ostatnie pieniądze z domu. Nie umiałam jej zatrzymać. — Ślepiec chciał uderzyć starą kobietę.

Ślepiec nie uderzył. Ślepiec rzekł: — lepiej będzie, jeśli nie zbiję cię teraz. Powiedziałaś: „żadne zwierzę nie weźmie dziewczęcia, jeśli nie uważasz mnie za zwierzę”. Kai, jesteś zwierzęciem! Powiedziałaś: „żaden mężczyzna nie zabierze dziewczęcia, któremu sama go nie dam”. Dałaś dziewczę innemu mężczyźnie. Powiedziałaś: „musiałabym być gorsza od diabła, gdyby dziewczę miało się zgubić”. Jesteś gorsza od diabła! Allah jednak dopilnuje, aby ci się więcej dostało niż diabłu. Od kradzieży kury zaczyna się przewrotność babia, a śmiercią wielu ludzi kończy się, jeśli Allah nie zechce zamknąć jej drogi. Biada; Postaram się o to, aby Allah powierzył mi zagrodzenie twej drogi. — Ślepiec wyszedł z domu.

Makapho zamknął za sobą drzwi. Stara kobieta wrzeszczała w domu. Ślepiec odszedł. Ślepiec poszedł do króla. Ślepiec rzekł do króla: — królu mój, pożycz mi dziesięciu silnych ludzi! — Król rzekł: — na co ci tych dziesięciu silnych ludzi? Czy chcesz kłaść nowy dach na twym domostwie? — Ślepiec rzekł: — nie, nie chcę kłaść żadnego dachu. To nie jest moja sprawa. To jest sprawa Allaha. Allah powierzył mi pewną starą kobietę, która jest gorsza niż diabeł. — Król rzekł: — wobec tego weź dziesięciu silnych ludzi. — Ślepiec odszedł z dziesięcioma silnymi ludźmi. Ślepiec poszedł do serki faua (starszego cechu rzeźników). Ślepiec rzekł: — daj mi dziesięć kiri! (rzemieni do wiązania byków). — Starszy cechu rzeźników rzekł: — na cóż ci tych dziesięć kiri? Czy chcesz przysposobić pułapkę na lwa? — Ślepiec rzekł: — nie, nie chcę sposobić żadnej pułapki na lwa. To nie jest moja sprawa. To jest sprawa Allaha. Allah powierzył mi pewną starą kobietę, która jest gorsza niż diabeł. Król pożyczyl mi już dziesięciu silnych ludzi. — Serki faua rzekł: — wobec tego weź owych dziesięć kiri!

Ślepiec poszedł z dziesięcioma silnymi ludźmi i z dziesięcioma rzemieniami do domu staruchy. Ślepiec

odemknął drzwi. Ślepiec rzekł do dziesięciu silnych ludzi: — przypnijcie tej starej kobiecie rzemienie do rąk i nóg i do głowy, wokół szyi i wokół brzucha. Bijcie ją i szturchajcie ją. Szarpacie ją tam i sam. Tłuczcie ją i grzmocście ją. Gniećcie ją i rwijcie ją. — Dziesięciu silnych ludzi zawiązało starej kobiecie rzemienie wokół rąk i nóg i głowy, wokół szyi i wokół brzucha. Bili ją i rwali ją. Stara kobieta wrzeszczała i wyła. Ślepiec rzekł: — teraz zobaczymy czy wyszło ze starej kobiety całe zło. Allah jednak chce, aby zapłaciła wszystko co jest winna.

Dziesięciu mocnych ludzi uwolniło starą kobietę. Dziesięciu mocnych ludzi odeszło z rzemieniami. Ślepiec rozłożył natomiast ogień w domu starej kobiety. Wsypał pieprzu do niego. Potem wyszedł i zamknął drzwi z zewnątrz. Ogień dymił. Gęsty dym wypełnił izbę. Stara kobieta biegała w przerażeniu z kąta w kąt. Czad wypełnił cały dom. Stara krzyczała z początku, ale czad zatkał jej gardło. Stara upadła. Wówczas ślepiec otworzył drzwi. Rzekł: — Allah nie chce abyś umarła. — Czad wyszedł z domu. Stara kobieta wstała znowu.

Ślepiec zawezwał gundiamy (fryzjera) i kazał mu zgolić starej kobiecie włosy. Ślepiec jednak nie pozwolił gundiamowi użyć do tego wody. Potem wziął ślepiec mocny, żelazny maki (pierścień do naciągania luków). Położył maki na głowie starej kobiety. Rzekł do starej: — to jest twoja useka (poduszka, którą ludzie z plemienia Haussa podkładają pod ciężar, niesiony na głowie). Teraz dam ci także brzemie. — Ślepiec dał starej kobiecie ciężki kamień, który musiała nosić na głowie, na podkładce z żelaznego pierścienia. Ślepiec rzekł: — ruszaj z tym! Chodź po kraju i baw się w handlarke! — Stara kobieta musiała iść. Ślepiec pędził ją przed sobą. Przez siedem miesięcy musiała stara kobieta nosić kamień na głowie. Wreszcie rzekł ślepiec: — teraz zrzuć kamień i pierścień żelazny. Droga twoja wiodła od ukradzonej kury do skradzionego dziewczęcia. Potem Allah rzucił ci ten kamień na drogę. Moje porachunki z tobą są skończone. Nie mam już z tobą nic do czynienia. Ruszaj znowu w swoją drogę, ty zaś idź w swoją.

Makapho odszedł. Stara kobieta odrzuciła kamień i żelazny pierścień. Stara kobieta rzekła: — ten ślepiec jest bardzo głupi. Pójdę zaraz do domu i przekonam się, czy moje pieniądze są tam jeszcze. — Stara poszła z powrotem do miasta. Stara poszła na targ i sprzedawała daudauwa (przyprawy korzenne). Trzymała swoje daudauwa na straganie. Wówczas przyszedł na targ Iblis (diabeł). Diabeł zbliżył się do starej kobiety i rzekł: — miałaś ciężkie przejścia z makaphem. — Stara kobieta rzekła: — kai! nie śmieję się ze mnie. Jesteś silny, ale ja cię przewyższam. — Diabeł rzekł: — ej, przecież mnie nie znasz stara kobieto z Matusu. — Stara kobieta rzekła: — dlaczegoż nie miałabym cię znać? Ty jesteś, Iblis! Ale nawet będąc diabłem, czyż byłeś kiedy powiązany dziesięciu rzemieniami z wszystkimi członkami, za głowę, za szyję i przez brzuch? Czyż kiedy dziesięciu silnych ludzi biło cię i szturchało, szarpało tam i sam. Tłukło i grzmocilo, gniećło i rwało? Czyż byłeś kiedy zamknięty w izbie pełnej ognia i pieprzowego czadu tak długo aż swad wypełnił twoje gardło i musiałeś upaść? Czy zdarzyło ci się nosić na wygolonej na sucho czaszce ciężki kamień przez siedem miesięcy, mając za podkładkę żelazny pierścień? Kai! Diabło, znasz ty to?

Diabeł rzekł: — jakich to jeszcze wielkich rzeczy dokonałaś? — Stara

*) kobiety lekkiego prowadzenia.

kobieta rzekła: — Jakich jeszcze wielekta rzeczy dokonałam? Wszystkiego nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że poważniałam i doprowadziłam do nienawiści ponad jedenaście tysięcy ludzi, którzy byli po-żenieni ze sobą. Rozdzieliłam też dwa tysiące kochanków i poróżniłam ich tak, że nie chcieli już słyszeć o sobie, żenić się, ani mieć dzieci. — Diabeł rzekł: — to całkiem niezłe moja stara kobieto. To całkiem niezłe. Ale nie znaczy to jeszcze żebyś mnie przewyższała. Zaraz urządzę ci tu coś takiego na targu czego ty nie potrafiśz zdziałać. Bowiem ja jestem Iblis, diabeł. — Stara rzekła: — wiem, że jesteś diabłem i umiesz to i owo. Wiem, że zdziałasz na pewno jakąś wielką rzecz. Ale czy ja nie potrafię zrobić tego samego, lub nawet przewyższyć ciebie, tego nie wiem. Bowiem ty nigdy nie byłeś związany dziesięcioma rzemieniami i nigdy nie siedziałeś w czadzie pieprzowym. Nigdy też nie nosiłeś całymi miesiącami ciężkiego kamienia na оголеной głowie, mając za podkładkę żelazny pierścień. Zobaczymy jak to będzie, kiedy skończysz swoje dzieło. — Stara kobieta zapakowała swoje kosze i poszła do domu.

Diabeł chodził po targu tam i sam przykucał koło sprzedawczyń orzechów kola i słuchał, co mówią między sobą. Diabeł pochylał się także i słuchał co mówią między sobą krawcy. Iblis poszedł i tam gdzie siedzieli handlarze płócien, kucnął koło nich i słuchał co mówią mieszczanie i co opowiadają magussau (pasterze), którzy przybyli na targ ze swymi żonami, by sprzedawać drzewo i owoce dauwa. Iblis podsłuchiwał ich wszystkich. Jedni mówili zle słowa przeciwko drugim. Inni powiedzieli czasem jakieś dobre słowo o drugich. Niektórzy jednak mówili bardzo zle słowa o innych. Każde zle słowo wypowiedziane przez ludzi zachowywał Iblis w pamięci. Iblis podszedł do jednej gromadki. Iblis rzekł: — kupiłeś coś od tamtego. Słyszałem jak on mówił „oszukiwał mnie“. — Iblis podszedł do innych ludzi i rzekł: — ten oszukiwał tamtego, powinniście mu pomóc. — Iblis podszedł do innych ludzi i rzekł: — tamci mówią, że jeden z was ich oszukiwał. Ale słyszałem też, że kiedy wieczorem jedna z waszych żon przyniosła im jedzenie tamten, o. wziął ją na stronę i uwiódł. — Iblis podszedł do innych ludzi i rzekł: — musicie pomóc tamtemu; ci tam, to są źli ludzie, którzy rzucają oszczerstwa na drugich, podczas gdy sami źle czynią. — Iblis poszedł do pewnego znanego obywatela, który wysyłał w różne strony i przyjmował karawany z towarami Rzekł on do niego: — mówią o tobie, że jesteś monafiki, który sieje między ludźmi niezgodę, aby wyciągnąć z nich więcej pieniędzy. — Czołwiek ten w isocie był monafiki, a ponadto często obdzierał ludzi z pieniędzy do tego stopnia, że musieli się zaprzedać i już nigdy nie odzyskiwali wolności.

Gdy monafiki usłyszał słowa Iblisa, chwycił za miecz. Monafiki wybiegł między ludzi, którzy źle o nim mówili. Monafiki krzyknął: — kto z was nazwał mnie monafiki? — Był tam pewien człowiek, który już dawno zaprzedał się w niewolę kupcowi i nie miał nic więcej do stracenia. Człowiek ten krzyknął: — jesteś monafiki. To jest prawda. Jesteś monafiki! Powtarzam to przed wszystkim. Niech wszyscy słyszą! — Monafiki uderzył człowieka mieczem. Bogaty monafiki zabił nędzarza. Niektórzy ludzie zaczęli krzyżeć: — najpierw zabierał nam ten człowiek pieniądze, teraz zabiera nam także i życie!

Niektórzy ludzie rzucili się na bogatego monafiki. Sługi bogacza przybiegli na pomoc. Bogaty monafiki upadł na ziemię. Niektórzy krzyżeć

z radości. Inni wołali: — „nie cieszcicie się! — Niektórzy krzyżeć: — „ci oszukali tamtych!“ — Inni wołali: — „Nie, tamci uwiędli żonę jednego z tych!“ Wszyscy bili. Każdy chwycił co miał pod ręką. W końcu dwanaście selek ludzi padło trupem. Wówczas przyszli dogari królewscy (strażnicy) i wygonili wszystkich ludzi z rynku.

Diabeł poszedł do starej kobiety i rzekł: — chodź ze mną, pokażę ci co potrafię zdziałać przez jeden dzień. — Stara kobieta poszła z diabłem. Diabeł zaprowadził starą na targ. Na placu targowym leżały porzucone kosze i przyodziewki, orzechy kola i podpłomyki, buty, kluski przedza i pieczone mięso. Tu i tam leżeli zabici. Pomiędzy tym wszystkim zaś, wśród porzuczonych rzeczy i zwłok, przechadzali się dogari po nastakłej krwią ziemi. Diabeł rzekł do starej kobiety: — spojrz, to wszystko zdziałalem w ciągu jednego dnia.

Stara kobieta rozejrzała się po placu targowym. Stara kobieta rzekła: — Nie ma tu nic więcej jak dwanaście selek zabitych i rozpedzony targ. — Diabeł rzekł: — tak, dwanaście selek zabitych i rozpedzony targ. — Diabeł rzekł: — wszystko to zrobiłem w ciągu jednego dnia. — Stara kobieta odwróciła się pogardliwie i rzekła: — to jest wszystko? I to ma znaczyć, że umiesz więcej niż ja? Idź mój diabeł! Idź do domu. Przyjdź znowu jutro wieczorem. Wtedy ja ci pokażę co potrafi stara baba.

Następnego ranka wyszła stara kobieta z domu i kupiła sto bardzo ładnych orzechów kola; kupiła też dzbanek muardi; kupiła jeszcze i garść truare-djubuda (pizmo cybety). Z tego wszystkiego wzięła pięćdziesiąt orzechów kola i truare-djubuda i z tym udała się do domu króla. Serki (król) posłubił akurat niedawno nową żonę. Dziewczę, które uczynił swoją żoną, było bardzo ładne. Wszyscy ludzie w mieście mówili o tym, że król kocha je tak, iż przedkłada je ponad inne żony i sadza obok pierwszej małżonki.

Stara kobieta przyszła do młodej żony królewskiej. Stara kobieta przyrzekała się młodej żonie królewskiej. Stara kobieta rzekła: — teraz, kiedy cię zobaczyłam, rozumiem jego słowa, te słowa, które przedtem wydawały mi się szalone. — Młoda żona królewska rzekła: — o co chodzi? — Stara kobieta przyjrzała się młodej żonie króla. Stara kobieta rzekła: — jesteś bardzo piękna. Przewyższasz pięknnością wszystkie niewiasty. Teraz, kiedy ciebie ujrzałam rozumiem te słowa, które przedtem wydawały mi się szalone. — Młoda żona królewska rzekła: — kaa! Stara kobieto. Tutaj nie mówi się takich rzeczy. Podaruj ci chustkę na głowę. Szybko opowiedz mi jakieś nowinki z miasta, a potem idź! Jesteś na dworze królewskim. — Stara kobieta przyjrzała się młodej żonie króla. Stara kobieta rzekła: — tak, powiedział mi: „pójdziesz do domu starego człowieka, do domu króla“. — Powiedział: „zobaczysz młodą żonę królewską, która przewyższa urodą wszystkie niewiasty“. Teraz, gdy zobaczyłam ciebie, rozumiem jego słowa, które przedtem wydawały mi się szalone. — Młoda żona królewska rzekła: — szybko, opowiedz mi jakie nowinki.

Stara kobieta położyła przed nią pięćdziesiąt orzechów kola oraz garść truare-djubuda i rzekła: — Cóż może ci on innego przestać, jak tylko drobności! Masz wszystko, a gdyby podarował ci złoty pierścień, król spozostregłby go natychmiast. — Młoda żona królewska rzekła: — któż przysłał to tutaj? Jak może ktoś przysłać mi cokolwiek do tego domu? — Stara kobieta rzekła: — to zrobić może tylko jeden człowiek w mieście. Zaden inny młodzieniec z mia-

sta nie odważyłby się posłać orzechów kola do tego domu, w którym zamknął ci stary król. — Młoda żona królewska rzekła: — któż przysłał cię tutaj? Stara kobieta rzekła: — to może być tylko ten, co w pochodzie wojennym jedzie na czele. To może być tylko ten, którego zbliżanie się budzi wśród wrogów większy strach, niż napasę tyśiąca innych wojowników. — Młoda żona królewska rzekła: — któż przysłał cię tutaj? — Stara kobieta rzekła: — ten który mnie przysłał jest synem jerimy.

Młoda żona królewska rzekła: — czyż syn jerimy nie boi się ślać podarków najukochańszej żonie króla? — Stara kobieta rzekła: — gdyby sto lwów rzuciło się na niego, jeszcze nie bałby się syn jerimy. Gdyby sto słoni napadło go, nie bałby się syn jerimy! Jakżesz miałby się obawiać starego człowieka? — Młoda żona królewska rzekła: — o czym myślisz syn jerimy? — Stara kobieta rzekła: — syn jerimy nie myśli już o salamie (modlitwie). Syn jerimy nie myśli już o swojej matce ani o swoim ojcu. Syn jerimy myśli tylko i jedynie o tobie!

Młoda żona królewska wzięła orzechy kola. Młoda żona królewska wzięła truare-djubuda. Młoda żona królewska rzekła: — kiedy moje białe zęby rozgryzą ten czerwony orzech będą również myślała o synu jerimy. Kiedy zapach truare-djubuda przesyli moje suknie, będą również myślała o synu jerimy. — Stara kobieta rzekła: — myśl o nim, gdy usłyszysz że znowu ciągnie na wojnę. Myśl o nim, gdy usłyszysz, że padł na wojnie. — Młoda żona królewska rzekła: — czy syn jerimy wkrótce znowu rusza na wojnę? — Stara kobieta rzekła: — syn jerimy nie pragnie już dłużej żyć. Myśli tylko o tobie. Jutro znowu rusza na wojnę. Nie wróci już więcej. — Młoda żona królewska rzekła: — nie wróci już więcej? — Stara kobieta rzekła: — nie, syn jerimy nie chce już wracać do tego miasta, w którym ty przebywasz zamknięta w domu króla. Syn jerimy chce umrzeć.

Młoda żona królewska rzekła: — więc on chce dać się zabić na wojnie! — Młoda żona królewska uderzyła w płacz. Młoda żona królewska rzekła: — Powiedz stara kobieto jakby to zrobić, abym mogła jeszcze dziś ujrzeć syna jerimy? — Stara kobieta rzekła: — to jest trudna sprawa. Syn jerimy pytał mnie: „jakby to zrobić, abym mógł jeszcze raz ujrzeć młodą żonę królewską zanim wyrusze na wojnę?“ To jest trudna sprawa. — Młoda żona królewska rzekła: — stara kobieto! Syn jerimy nie może pozwolić dać się zabić na wojnie. Stara kobieto! Chcę jeszcze dziś zobaczyć syna jerimy! Stara kobieto! Jeśli żadam czegoś od króla, spełnia on moje żądanie. Powiedz mi w jaki sposób mogłabym dziś jeszcze zobaczyć syna jerimy.

Stara kobieta rzekła: — o młoda piękna żono królewska! Idź do króla i powiedz mu: „dowiedziałam się, że moja matka zaniemogła. Pozwól mi, abym udała się do niej. Zanim zmrok zapadnie będę z powrotem“ Kiedy potem król da ci pozwolenie przyjdź szybko do mnie, do małego domku koło muru miejskiego. — Młoda żona królewska rzekła: — tak zrobię tak właśnie. Zaraz pójdę do króla. Potem przyjdę do ciebie, do małego domku koło muru miejskiego. — Stara kobieta rzekła: — przyjdź do mnie. Ja zaś pójdę wtedy do syna jerimy i powiem mu, że jesteś u mnie.

Młoda żona królewska podarowała starej kobiecie chustkę na głowę i suknię. Stara kobieta odeszła. Młoda żona królewska wzięła orzechy kola. Młoda żona królewska wzięła chustkę i położyła na niej cztery orzechy kola. Młoda żona królewska

rzekła: — syn jerimy jest młody i piękny. — Młoda żona królewska wzięła cztery dalsze orzechy, położyła je na chuście i rzekła — syn jerimy jest dzielny. — Młoda kobieta wzięła znowu cztery orzechy, położyła je na chuście i rzekła: — król jest stary. — I znowu wzięła cztery orzechy i położyła je na chuście mówiąc: — syn jerimy powie-dział, że jestem najpiękniejszą niewiastą w mieście. — Młoda żona królewska wzięła dalsze cztery orzechy, położyła je na chuście i rzekła: — młody syn Jerimy nie pójdzie na wojnę. — Położyła jeszcze cztery orzechy na chuście i rzekła: — będę prosić młodego syna jerimy aby nie szedł na wojnę. — Młoda żona królewska wzięła wszystkie pozostałe orzechy kola, wysypała je do chusty i rzekła: — teraz idę do syna jerimy. Teraz rzucę się przed synem jerimy na ziemię. Teraz będę go prosić i prosić. Teraz upiększę się i nareszcie będę wiedzieć dla kogo to czynię.

Młoda żona królewska zrzuciła z siebie szaty. Młoda żona królewska przystroїła się w piękne płótno. Na piękne płótno narzuciła starą suknię. Przykrywszy starymi łachami piękną odzież wyszła ze swego domu. Poszła do jednego z domów króla i rzekła do pewnego niewolnika: — idź i powiedz królowi że muszę się z nim widzieć! — Niewolnik rzekł: — nie jest to czas po temu. Wszyscy z-gromadzili się u króla, by złożyć mu pokłon. — Młoda kobieta rzekła: — kaa! niewolniku idź, bo inaczej pójdę sama i poproszę króla aby cię wychłostał. Idź do króla i powiedz mu: „twoja młoda żona chce z tobą mówić. Twoja młoda żona obawia się czyjejs śmierci“. Idź!

Niewolnik udał się do królewskiego domu przyjąć. Wszyscy zaamienili ludzie byli tu zgromadzeni. Niewolnik rzucił się przed królem na ziemię. Król rzekł: — co się stało? — Niewolnik rzekł: — młoda żona chce z tobą mówić. Młoda żona obawia się czyjejs śmierci. — Król powstał. Król wyszedł. Cziroma (książe krwi) rzekł do galadimy: — król starzeje się. Każda kobieta może nim kręcić. — Galadima rzekł: — tak, król starzeje się.

Król przyszedł do domu, w którym czekała na niego młoda żona. Młoda żona rzuciła się przed królem na ziemię. Młoda żona zaczęła płakać i wołać: — Serki! Serki! Serki! Królu! Królu! Królu! — Król rzekł: — płaczysz i masz na sobie stare szaty! Czyż nie podarowałem ci dosyć pięknych, nowych sukien? — Młoda żona płakała i wołała: — Królu, Królu, Królu! — Król pochylił się nad nią i podniósł ją z ziemi. Król rzekł: — o co chodzi? — Młoda żona rzekła: — obawiam się śmierci! Obawiam się śmierci! Obawiam się śmierci! — Król rzekł: — dlaczego masz umrzeć? — Młoda żona rozplakała się i rzekła: — ja nie umrę pierwsza. Jeden człowiek umiera, a wtedy drugi człowiek musi też umrzeć! — Król rzekł: — o kim mowa? — Młoda żona płakała i mówiła: — pozwól mi iść do mojej matki. Pozwól mi iść natychmiast. Dostałam wiadomość. Dziś wieczorem będę z powrotem. — Król rzekł: — czy twoja matka już od dawna jest chora? — Młoda żona królewska płacząc rzekła: — nie! Czy mogę iść? — Król rzekł: — idź! — Młoda żona wybiegła z domu.

Młoda kobieta przebiegła podwórzec. Młoda kobieta biegła przez miasto. Młoda kobieta biegła aż na koniec miasta. Młoda kobieta dobiegła aż do małego domku przy murze miejskim. Młoda kobieta weszła do domu staruchy. Stara rzekła: — ty! Czemu przychodzisz w starej i brzydkiej sukni? — Młoda kobieta rzekła: — daj mi spokój! Zawołaj szybko syna jerimy! — Stara kobieta wrzuciła. Stara kobieta szła przez miasto.

Stara kobieta mówiła: — myśliwcy podpalili kępe trawy w buszu na stepie. Wkrótce nadejdzie wiatr. Wiatr rozdmucha ogień po buszu a ogień strawi spichrze i zagrozi ludzi.

Stara kobieta biegła przez miasto. Stara kobieta przybiegła na dwór jerimy. Jerima miał tylko jednego syna. Syn jerimy leżał w swoim domu. Niewolnicy jerimy siedzieli przy nim i czyścili jego miecze, jego szylety i jego oszczepy. Stara kobieta rzuciła się przed synem jerimy na ziemię. Stara kobieta leżała bez ruchu. Syn jerimy rzekł: — co się stało? — Stara kobieta rzekła: — syn jerimy nie zna strachu i odbiera lwicy jej młode. — Syn jerimy rzekł: — o co chodzi? — Stara kobieta rzekła: — to co warte usłyszenia przez dwoje uszu nie zawsze powinno być słyszane przez ośmioro! — Syn jerimy rzekł do niewolników: — odejdźcie! — Niewolnicy odeszli.

Gdy niewolnicy jerimy odeszli syn jerimy rzekł: — o co chodzi? — Stara kobieta rozłożyła swą chustkę. Stara kobieta położyła na ziemi pięćdziesiąt orzechów kola. Stara kobieta postawiła na ziemi dzbanek muardi. Stara kobieta rzekła: — to przysłała pewna młoda pani. — Syn jerimy rzekł: — co chcesz przede mną powiedzieć? — Stara kobieta rzekła: — nie jedź na wojnę. Nie jedź na wojnie. Kiedy jeden człowiek umiera, drugi też musi umrzeć; bowiem tamten nie może żyć, gdy ten pierwszy nie powróci. — Syn jerimy wstał. Syn jerimy rzekł: — kim jest ta młoda pani? Czy tej młodej panie nie wystarczy jej mąż? — Stara kobieta rzekła: — kiedy wyruszasz na wojnę, młoda pani przygląda się przez mur. Młoda pani nie śpi, kiedy jesteś na wojnie. Kiedy wracasz z wojny, młoda pani płacze znowu przez mur. Potem nadżyje z dnia na dzień. Kiedy jesteś na wojnie, młoda pani daje podarki z brakom i ślepcom aby Allah ztrzymał cię w mieście.

Syn jerimy rzekł: — hej staro! Powiedz mi kim jest młoda pani! Stara kobieta rzekła: — jest to najpiękniejsza młoda pani w mieście. Ale przebywa ona między łapawymi. Tylko śmiałek może ujrzeć i pozdrowić. — Syn jerimy wziął miecz i podniósł go w górę. Syn jerimy rzekł do starej kobiety: — hej stara! Powiedz mi kim jest młoda pani! — Stara kobieta rzekła: — jest to młoda żona królewska. — Syn jerimy rzekł: — więc to młoda żona królewska? — Syn jerimy odrzucił miecz. Syn jerimy rzekł: — gdzie jest piękna młoda żona królewska? — Stara kobieta rzekła: — piękna młoda żona królewska jest w moim domu. — Syn jerimy rzekł: — idź przedem! Pokaż mi drogę!

Stara kobieta poszła. Syn jerimy wziął ze sobą jednego z ludzi swego ojca. Syn jerimy razem ze sługą szli za starą kobietą. Stara kobieta, syn jerimy i sługa szli przez miasto. Przybyli wkrótce pod miastem. Człowiek jerimy został tutaj. Stara kobieta otworła drzwi swego domu. Młoda pani wstała. Syn jerimy wszedł w drzwi. Młoda pani pozwoliła opaść starym szatom. Młoda pani stała przed synem jerimy. Była bardzo urodziwa w swej pięknej sukni. Stara kobieta zamknęła drzwi. Syn jerimy został w domu sam z piękną, młodą żoną królewską.

Człowiek jerimy został na zewnątrz. Drzwi domu starej kobiety były założone na skobel. Stara kobieta odeszła. Stara kobieta biegła przez miasto. Stara kobieta przybiegła do dzielnicy królewskiej. Znamienici mężowie złożyli już królowi swój pokłon. Król dopuścił znamienitych

Na półkach księgarskich

Problem Chrystusa W wąskim kręgu fantazji

Ukazanie się studium*) ks. prof. E. Dąbrowskiego, wzbogaca katolickie piśmiennictwo naukowe o jeszcze jedną cenną pozycję. Jest ona tym bardziej cenna, że ukazuje się w momencie, gdy krytyka uczonych o światopoglądzie ateistycznym odmawia osobie Chrystusa, nie tylko cech bóstwa, ale wręcz poddaje w wątpliwość Jego historyczne istnienie. A więc czy tylko złudny mit Chrystusa, czy też realny Bóg—Człowiek, który umarł dla naszego zbawienia — oto dręczące pytania, które domagają się pełnej i jasnej odpowiedzi.

Wokół postaci Chrystusa wytworzyło się wiele różnych sprzecznych teorii już niemal od zarania chrześcijaństwa. Ale dopiero koniec XVIII stulecia ze swoimi racjonalistycznymi hasłami, stworzył podstawy do naukowo krytycznego opracowania postaci Chrystusa. Ta krytyka (tzw. liberalna czy radykalna) wychodziła jednak z założenia, że ewangelie są utworami pół lub całkiem anonimowymi, będącymi dziełem bezimiennej, wierzącej i rozentuzjasmowanej twórczej społeczności, której nie zależało na odróżnieniu prawdy historycznej od legendy.

„Pod znakiem legendy wiek XIX rozpoczynał swe prace wokół Chrystusa i ewangelii — pisał ks. prof. Dąbrowski, przystępując następnie do analizy rozwoju historycznego sporu o Chrystusa. Dawid Fryderyk Strauss przed swym wystąpieniem w 1835 r., Ernest Renan w swym „Ży-

wocie Jezusa“ (1863) oraz Adolf Harnack w swej „Istocie chrześcijaństwa“ (1900) usiłowały rozwiązać tajemnicę Jezusa — „Le mystère de Jésus“. Osobliwą pozycję zajmuje Couchoud, najbardziej konsekwentny zwolennik mityzmu, zaprzeczający wprost historycznemu istnieniu Chrystusa. Poglądy Couchoud'a uznane obecnie prawie jednomyślnie w nauce światowej za niepoważne zostały podważone przez twarde argumenty dokumentacji historycznej (ewangelie, Paweł z Tarsu, Tacyt, Józef Flawiusz). Natomiast przeciw czarującej uludzie renowatorskiego Jezusa, przeciw Straussowi i Harnackowi, rzeba było ostro walczyć, a to było ciężką batalię, którą egzegeza katolicka podjęła wprawdzie od razu, ale z niezbyt widocznym rezultatem.

Godną odpowiedzią na „Żywot Jezusa“ Renana była dopiero publikacja wybitnego uczonego katolickiego M. J. Lagrange'a pt.: „La vie de Jesus d'après Renan“ (1923 r.). Dwudziesty wiek przynosi zresztą szereg cennych prac egzegetycznych ale jednak nie egzegetki, nawet nie historycy zdołali zapewnić duży rozgłos problematowi Chrystusa we współczesnej literaturze katolickiej, zwłaszcza francuskiej i włoskiej. Dokonałi tego przede wszystkim wybitni pisarze tej miary, co Fr. Mauriac, Daniel Rops, Papini.

Wybitnie psychologicznie ujęty problemat Chrystusa w „Vie de Jesus“ Mauriaca, jest próbą choć niezbyt trafnie przeprowadzoną, ale jednak dosyć ciekawą. Znaczącej szerzej i słuszniej potraktował temat Daniel Rops w swym „Jesus en son temps“. Wielką sławę zdobyła rów-

nież znakomita „Storia di Cristo“ Papiniego, który połączył w swej książce rzetelną naukę z wykwrotną formą słowa. Rewelacją zaś na dużą skalę było pojawienie się w 1941 „Vita di Gesu Cristo“ Ricciottiego. Dzieło to, przyjęte entuzjastycznie przez krytykę, przetłumaczono dotychczas już na 16 języków.

A więc obecnie w niespełna 90 lat po ukazaniu się „Vie de Jesus“ Renana, katolicy mogą pochłubić się pięknymi i cennymi dziełami naukowymi i literackimi, które z łatwością przewyższają w tej dziedzinie krytykę uczonych laików.

Ks. prof. Dąbrowski nakreśliwszy problemat Chrystusa we współczesnej literaturze katolickiej, końcówce swe wywody poświęca zagadnieniu, związanym już ściślej z teologią. Dzięki temu praca autora przedstawiła w bardzo ogólnych zarysach, wszystkie aspekty tego niezmiernie interesującego problemu.

Świetny styl pisarski, lapidarne formułowanie zagadnień, wysoki umiar i obiektywizm naukowy — to na ogólniejsze walory tej pracy ks. prof. Dąbrowskiego. Zawarcie zaś „Problematu Chrystusa“ w niewielkiej stosunkowo objętości (30 stron druku) ma jeszcze tę zaletę, że łatwiej potrafi zacięknąć tych, którzy z braku gruntowniejszej znajomości danego tematu, pragnęliby jednak ze zwiezłych szkiców zapoznać się z tak ważnym dla każdego katolika problemem.

Zyczyć więc należy, aby to studium ks. prof. Dąbrowskiego trafiło do szerszych kręgów inteligencji katolickiej.

J. D.

*) Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski: „Problemat Chrystusa we współczesnej literaturze katolickiej“.

Misja Karola Heitmana

„Dom pod Starym Łuczniakiem“ — to olbrzymie chicagowskie zakłady drukarskie, których ostatnie, najwyższe piętro zajmuje wytwórnia klisz i plakat, niezbędnych w końcowej fazie pracy drukarni. Stąd symboloza obu przedsiębiorstw, które poza tym różnią się między sobą diametralnie.

Drukarnia zatrudnia parę tysięcy osób, podczas gdy w zakładzie galwanizacyjno-odlewniczym nie ma nawet stu pracowników. Właścicielem drukarni jest wytwórny, starszy pan, stary gieldziarz i dobry psycholog, Bowman, którego system wobec robotników polega na możliwym ich wykorzystaniu i jednocześnie na wytworzeniu w nich przekonania, że nie tylko nie dzieje się im żadna krzywda, ale, przeciwnie, że lepiej nigdzie nie będą mieli. W tym celu — placąc lichy i stosując dziesięćgodzinny dzień pracy, Bowman wydaje dla swych pracowników specjalny miesięcznik, w którym w sposób tkiwy i serdeczny opisane są różne sprawy fabryczne, epizody z życia poszczególnych pracowników, ich troski i radości itd. Bowman urządził rewle, zabawy i loterie. Bowman dba, jednym słowem, o swoich ludzi, wymaga jednak za to pracę, oczywiście, wytężonej pracy, aby robotnicy nie myśleli nawet o organizowaniu się w związki.

Tymczasem w małych „Zakładach Odlewniczo-galwanizacyjnych“, rządzonych dla odmiany przez trzech współwłaścicieli, galwanizery należą do związku, pjątego oczywiście na sposób amerykański. To znaczy, jako stowarzyszenie fachowców tworzą pewną, organiczną całość, co do pewnego stopnia chroni ich przed bezrobociem, ale nie przejawiają świadomości klasowej. Ten oportunizm i obojętność wobec zjawisk ekonomicznych stała się przewyższającą u swych kolegów Karl Heitman, jedyny w tym zespole, uświadomiony związkowiec: „Jestście robotnikami — mówi on — pracujecie własnymi dziesięcioma palcami, należycie do związku, ale nie macie zielonego pojęcia o historii ruchu robotniczego. Nie wiecie nic a nic“.

Akcja powieści Alberta Halpera idzie dwoma zasadniczymi torami. Opowiada o zaciętej, bezwzględnej walce robotnika z pracodawcą, czyli zgodnie z marksistowską postawą

autora — odwiecznym konflikcie pracy z kapitałem. Przedstawia jednocześnie całkiem prywatne, a nawet intymne dzieje pracowników „Zakładów Galwanizacyjnych“.

Bogata i różnorodna galeria typów ludzkich, którą ukazuje nam autor, jest raczej ponura i przygnębiająca.

Oto Maks Steuben, główny współwłaściciel „Zakładów“, dawny robotnik, dziś kapitalista, postrach pracowników niezwiązkowych, wróg numer jeden — zrzeszonych w związku. Steuben dąży do zmechanizowania „Zakładów“, aby w ten sposób zmniejszyć ilość zatrudnionych u niego robotników. Niestety, mimo udanego wynalazku uniwersalnej maszyny galwanizacyjnej, jego plany życiowe zawodzą. Czeka go sabotaż ze strony robotników, utrata majątku z powodu ogólnego krachu gospodarczego i prawdopodobnie śmierć na udar serca.

Oto Zene Cranly, pierwszy wspólnik Steubena, a zarazem jego popychadło. Jest to stary, hemoroidalny buchalterzyna, zmęczony przez chorobę, apodyktycznego szefa i przez rodzinę, składającą się z energicznej małżonki i pięciu dorodnych, rozleniwionych córek.

Oto „porucznik“ Jack Duffy, drugi wspólnik Steubena. Nieszczęśliwy kabotyń i blazen życiowy, ofiara swych niezdrowych zapędów erotycznych. Raz jeden uśmiecha się szczęście do tego, niefortunnie ożenionego potępińca. Poznaje miłą, kochaną panią Hill i wtedy się odmieńca. Spód maski blazna wygląda twarz człowieka dobrego i rozumnego. Jednak pani Hill odchodzi z jego życia. „Porucznik“ Duffy, który ponadto traci z powodu krachu na giełdzie wszystkie oszczędności swej zniechęconej żony, po kabotyńsku kończy ze sobą.

Dalej — ciekawa sylwetka młodego ekspedytora, Augusta Kafki, o którym autor nie dość wyraźnie powiada, czy rzeczywiście miał talent kompozytorski, czy też stworzony przez Kafkę utwór „Echa Drukarni“ był tylko jeszcze jednym bluffem bowmanowskiej reklamy.

Niesposób pominąć epizodycznych, lecz jakże tragicznych w swym wyrazie postaci małego gońca Waldo „starego zamiatacza „Hooper-Dooopera“, których żył humor Steubena pozbawia pracy i chleba.

Wreszcie grupa galwanizerów Ci nie boją się widma bezrobocia. Wszyscy należą do związku. Są dobrymi fachowcami, zarówno Slavo-

niś, Hunowski i „Nero“, jak Kubek, Burner czy Pete. Nawet w obliczu ogólno-amerykańskiego krachu gospodarczego, który w jednej chwili z milionerów robi nędzarzy, a z fabrykantów — bezrobotnych, ci syci i dobrze, jak dotąd, opłaceni galwanizery wcale nie okazują zaniepokojenia. Po prostu cieszą się, że przyszedł wreszcie ciężki czas na Bowman i Steubenów.

I tu autor wysuwa na pierwszy plan robotnika Karla Heitmana, który — jeden z całej grupy — zdaje sobie dobrze sprawę, że ten wielki, panamerykański potop bezwartościowych akcji może zalać również taką przystań dobrobytu jak „Zakłady Galwanizacyjne“, że pewnego dnia fabrykant, u którego czują się tacy pewni, po prostu nie będzie ich potrzebował...

Długi czas misja Karla Heitmana spala na panewce. Robotnicy, dufni w swój fach i związana z tym wartość, przysłuchują się obojętnie wywodom kolegi. Ich świadomość klasowa pograżona jest w głębokim letargu.

Zbliża się jednak moment, że trud Heitmana zacznie przynosić owoce. Dzięki odpowiedniemu skomentowaniu paru ostatnich wydarzeń Karł Heitman zdobywa zaufanie i postuch. Autor każe nam wierzyć, że robotnicy ci ockną się z letargu swoicę pojmovanej „prosperity“ i pod wodzą wielu Karłów Heitmanów przystąpią do rewolucjonizowania rzeczywistości amerykańskiej.

Taka jest leza powieści Alberta Halpera.

Można się z nią zgodzić lub nie. Można polemizować z autorem, można wytknąć mu to i owo (np. nadużywanie czarnych barw).

W każdym bądź razie książkę tę należy przeczytać.

Tym bardziej, że jest napisana z niewątpliwym talentem i że porusza zagadnienie istotne dla wszystkich — bez względu na wyznawaną ideologię — zagadnienie krzywdy ludzkiej.

*

Na marginesie tej interesującej książki — uwaga pod adresem wydawcy. Dłaczko „Czytelnik“, którego sama nazwa wskazuje, czym interesom chce służyć, lekceważy niejednokrotnie już wysuwane postulaty właśnie przez swoich czytelników? Rzecz na pozór małej wagi wobec osiągnięć i rozmachu wydaw-

Mimo zachwytów krytyki książka Capka *) nie zrobiła na mnie oczekiwanego wrażenia. To znaczy wrażenia — jakie daje pozycja beletrystyczna pierwszej rangi, ponieważ w pełni uznaje wartość „Inwazji jaszczurów“ jako dobrej książki drugiej klasy, świetnej zwłaszcza na wakacjach, kiedy czytelnik lubi poczuć dreszczyk emocji, poszybować na skrzydłach fantazji, ale nie być zobowiązany do solidniejszych przemyśleń.

Sam pomysł jest ciekawy, chociaż nie odkrywczy.

Oto stary kapitan van Toch otrzymawszy od właścicieli statku polecenie znalezienia nowych ławic perłowych na Pacyfiku — odnajduje nieodkryte złoża pereł u wybrzeży jednej z wysp, w miejscu, gdzie żyją dziwne, człekokształtne płazy.

One to właśnie wydobywają kapitanowi cenne skamieliny i zostają w trakcie tej akcji obdarowane bronią palną (w wodzie!) celem obrony przed rekinami. Dzięki temu bezpieczeństwo rozmnażają się w fantastyczny sposób. Niebawem powstają wielkie przedsiębiorstwa, aby wykorzystać płazy jako siłę roboczą lub jako element bojowy. Wreszcie jednak sprytny płazy zorientowawszy się w koniunkturze same budują na dnie morza zbrojownie i rozpoczynają wojnę z ludźmi, w której są wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

*) Karol Capek: „Inwazja jaszczurów“. Poznań, Wyd. Zachodnie i Morskie — 1949.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

*) Karol Capek: „Inwazja jaszczurów“. Poznań, Wyd. Zachodnie i Morskie — 1949.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Historia opuszczonego szalasu

Młode pokolenie przedwojenne pamięta zapewne dobrze Grey Owla — Szarą Sowę jako ulubionego autora książek z życia zwierząt. „Książka i Wiedza“ udostępniła polskiemu czytelnikowi „Historię opuszczonego szalasu“. Owe niedostępne pierwotnie ostępy puszczańskie były natchnieniem wielu miłośników prostoty i autentycznej przygody.

Autor „Historii opuszczonego szalasu“, Anglik prawdopodobnie, uciekający od dobrodziejstw cywilizacji na łono natury, do form pierwotnego bytowania, który ukrył się pod indiańskim pseudonimem „Szarej Sowy“, z tęsknotą wspomina lata pełne porywających przygód, daje barwne, plastyczne opisy przyrody, rozsmuwa przed oczyma czytelnika życie myśliwego, życie narażone na wiele niebezpieczeństw czyhających w puszczy kanadyjskiej, ale jednocześnie pełne radości i prostoty, zabarwione jakimś optymistycznym romantyzmem.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

Ważnym elementem powieści jest wydatnie finansowani przez tychże ludzi. W walce tej zwyciężają swych wrogów. Książka jednak kończy się błyskiem nadziei: może uda się skierować płazy przeciwko ludziom (wszak posiadają psychikę ludzką!) — i wówczas wyginą w bratobójczej wojnie, a ocalała reszta ludzkości zostanie uratowana.

*) Albert Halper: „Dom pod Starym Łuczniakiem“. W-wa — 1950. Wyd. „Czytelnik“. Str. 515. Tłum. F. Dehnel.

Mimo jednak, że zaliczyliśmy powieść Capka do drugiego gatunku książek — i w tym zakresie nie jest ona bez błędów. Głównym jej błędem są nużące dłużyzny, szczególnie pseudonaukowe wywody na temat pochodzenia plazów „Atrakcyjny“ rozdział pt. „Życie płazów“ — najzupelniej zbędny.

„Inwazja jaszczurów“ — jest głównie fantastyczną satyrą na współczesność spod znaku kapitalizmu. Trzeba przyznać, że Capek z dużą ostrością obserwacji ukazał nam w krzywym zwierciadle spaczenia świata pod rządami z gruntu błędnego systemu, spaczenia gospodarstwa w pewnym sensie i moralnie. Pieniądz, wywołana przez człowieka siła, zostaje przez ludzi skierowana w ręce wrogów ludzkości po to, aby zniszczyli świat.

Mimo tych zalet, cechą, która spycha powieść Capka do drugiego rzędu jest duża pływaczność książki. Daleko czeskiemu pisarzowi do Wellsa — jako wizjonera-fantasty, lub do Anatola France'a, z którym był porównywany jako krytyk współczesności. Satyra i fantazja mogą stać się lancetem, który dotrze do duszy, do istoty zachodzących realnie zjawisk — natomiast Capek dotyka tych zjawisk po wierzchu nie sięgając głębszych pokładów problematyki.

Powieść Capka jest również niewychowawcza, bo spójrzmy: człowieka diabli (przepraszam: płazy) biorą, a płazy nie lepsze od niego. Więc co zostaje pozytywnego? Jaka wartość w tym świetle człowieka, życia, świata?

Recenzent „Odrodzenia“ napisał swojego czasu, że twórczość Capka jest szkatułką, na dnie której leży filozoficzny kamień mądrości. Nieprawda, nie leży. A w każdym razie nie w „Inwazji jaszczurów“.

J. Z.

Historia opuszczonego szalasu

Przez karty książki-pamiętnika przebiega wyraźnie głęboki nurt humanizmu jej autora, wyrażający się nie tylko w bezgranicznym umiarkowaniu mieszkańców puszczy — zwierząt, lecz w całkowitym solidaryzowaniu się z tępiącymi bezlitośnie Indianami. Uczucia Grey Owla są głęboko ludzkie, wykraczające daleko poza ramy egoizmu narodowego czy rasowego. Grey Owl porusza sprawę Indian jakby na marginesie książki, a jednak ona stanowi największy ciężar gatunkowy książki, ukazują nam bowiem drugie, bardzo już prozaiczne oblicze puszczy kanadyjskiej, ukazują prawych włodarzy tych puszczy — szczepy Indian skazanych przez białych kolonizatorów na fanstastycznie ciężkie warunki życia. „Białych było zbyt wielu, aby Indianie mogli ich pokonać swoją prymitywną bronią. Nastąpiły krwawe rzezie czerwonoskórców. Tam gdzie wojna nie odniosła skutku biali uciekali się do środków handlowych, do represji kulturalnych i wreszcie do wódki“ Wymowne słowa.

Młodzież chętnie sięga po książki Grey Owla. Zna on bowiem świetnie życie mieszkańców puszczy: ludzi i zwierząt. Życie obfitujące w niebezpieczne przygody, które jednak nadają mu tyle radości i uroku. Opowiada przy tym prostym i przystępnym językiem doskonałego gawędziarza. Dobrze się stało, że autor tak rzęcznie wolił w tok akcji książkowej owe sprawy Indian, ukazane często w sielankowym wyidealizowanym obrazie samych przyjaźni białego człowieka, przyjaciel zdradzających swe szczepy broniące prymitywną bronią swych praw do wolności.

G. K.

ŻAW

T Y D Z I E Ń

K R O N I K A

ARTYKUŁ JÓZEFA STALINA

W związku z dyskusją na temat radzieckiego językoznawstwa, dnia 20 czerwca ukazał się w „Prawdzie“ artykuł JÓZEFA STALINA p. t. „W sprawie marksizmu w językoznawstwie“.

Ponieważ artykuł ten przedrukowany został in extenso przez całą prasę codzienną, ograniczamy się więc w tym miesiącu jedynie do ogólnego jego omówienia.

Artykuł przynosi odpowiedź na cztery pytania, skierowane pod adresem Józefa Stalina, a dotyczące konsekwencji teorii marksizmu-leninizmu w dziedzinie tak szczegółowej nauki jak jest językoznawstwo.

W odpowiedzi na pierwsze pytanie autor artykułu rozprawia się z poglądem wyznawanym przez część radzieckich badaczy zagadnień językowych, jakoby język był nadbudową bazy społeczno-gospodarczej społeczeństwa.

Język — czytamy w artykule — nie jest wytworem tej czy innej bazy, dawnej czy nowej bazy wewnątrz danego społeczeństwa, lecz wytworem całego przebiegu historii społeczeństwa i historii baz w ciągu stuleci. Nie został on stworzony przez jakąś jedną klasę, lecz przez całe społeczeństwo, przez wszystkie klasy społeczeństwa, wysiłkiem setek pokoleń. Został on stworzony dla zaspokojenia potrzeb nie jakiejś jednej tylko klasy, lecz całego społeczeństwa, wszystkich klas społeczeństwa. Właśnie dlatego powstał on jako jeden dla całego społeczeństwa i wspólny dla wszystkich członków społeczeństwa język ogólnonarodowy. Wobec tego służebna rola języka jako środka obcowania pomiędzy ludźmi nie polega na obsłudze jednej klasy ze szkodą dla innych klas, lecz na jednakowym obsłudze całego społeczeństwa, wszystkich klas społeczeństwa. Tym się właśnie tłumaczy, że język może jednakowo obsługiwać zarówno stary, umierający ustrój, jak i nowy wyrastający; zarówno stara bazę, jak i nową, zarówno wyzyskiwaczy jak i wyzyskiwanych.

Drugie pytanie dotyczy zagadnienia „czy słuszne jest, że język był zawsze i nadal pozostaje klasowym, że nie ma jedynego i wspólnego języka dla całego społeczeństwa, języka nieklasowego, ogólnonarodowego.“ Odpowiedź na to pytanie jest oczywiście negatywna.

Stanowisko Józefa Stalina w powyższej sprawie charakteryzuje najlepiej następujący cytat:

„a) język jako środek obcowania zawsze był i pozostaje jeden dla społeczeństwa i wspólny dla jego członków;

b) istnienie dialektów i żargonów nie neguje, lecz potwierdza istnienie języka ogólnonarodowego, są one jego odgałęzieniami i są mu podporządkowane;

c) formuła „klasowości“ języka jest formułą błędną, nie marksistowska.“

W dalszej części artykułu, autor zajmuje się problemem rozwoju języka.

„Byłoby jednak — pisze — wielkim błędem sądzić, że rozwój języka odbywał się w ten sam sposób, jak rozwój nadbudowy, drogą unicestwienia tego co istniało i budowania nowego. W istocie rzeczy rozwój języka odbywał się drogą rozwijania i doskonalenia podstawowych elementów istniejącego języka. Przejście od jednej jakości języka do innej odbywało się przy tym nie drogą wybuchu, nie drogą unicestwienia za jednym zamachem tego co stare i budowy nowego, lecz drogą stopniowego i długotrwałego gromadzenia elementów nowej jakości, nowej struktury języka, drogą stopniowego obumierania elementów dawnej jakości.

Powiadają, że teoria stadialnego rozwoju języka jest teorią marksistowską, uznaje bowiem konieczność nagłych wybuchów jako warunku, przejścia języka od dawnej jakości do nowej. Jest to oczywiście nieślusne, trudno bowiem znaleźć cokolwiek marksistowskiego w tej teorii. A jeśli teoria stadialności rzeczywiście uznaje nagłe wybuchy w historii rozwoju języka, tym gorzej dla niej. Marksizm nie uznaje nagłych wybuchów w rozwoju języka, nagłej śmierci istniejącego języka i nagłej budowy nowego języka.“

Wreszcie w odpowiedzi na ostatnie pytanie, autor rozważa korzyści jakie przyniosła wszczęta na łamach „Prawdy“ dyskusja w sprawach językoznawstwa. Z tych rozważań do-

wiadujemy się, że grupa uczniów N. J. Marra (twórcy teorii języka jako nadbudowy) usiłowała narzucić swój pogląd całej nauce radzieckiej i niedopuszczyć do krytyki tej tak zwanej „nowej nauki“ w językoznawstwie. Wbrew tym tendencjom, Stalin z całym naciskiem podkreśla potrzebę wymiany poglądów i dyskusji dla normalnego rozwoju nauki.

„Jest rzeczą powszechnie uznaną — pisze — że żadna nauka nie może rozwijać się i prosperować bez walki poglądów, bez wolności krytyki. Jednakże ta powszechnie uznana reguła była w sposób najbardziej bezceremonialny ignorowana i lekceważona. Powstała zamknięta grupa nieomylnych kierowników, która, zabezpieczając się przed wszelką możliwą krytyką, zaczęła zachowywać się w sposób samowolny i warcholski.“

Nie wdając się w gruntowną analizę omawianego artykułu z punktu widzenia naukowego i jego doniosłego znaczenia dla rozwoju językoznawstwa w Związku Radzieckim i innych krajach, pragniemy zwrócić uwagę czytelników na szerszy aspekt wypowiedzi najwyższego autorytetu Związku Radzieckiego, aspekt interesujący nie tylko szczupłe grono filologów.

Naszym zdaniem na podkreślenie zasługuje fakt, że w sposób autorytatywny i kategoryczny potępione zostały tendencje upraszczania polegające na doktrynerskim i sztucznym przenoszeniu zasady klasowości w te dziedziny w których w istocie zasady te nie znajdują zastosowania.

Zasługuje również na uwagę fakt charakterystyczny dla radzieckiego życia kulturalnego, w szczególności zaś naukowego. Nie poraz pierwszy dyskusja naukowa toczona jest tam na łamach prasy codziennej. Dzięki tej praktyce wielomilionowe rzesze obywateli są wciągnięte w zasadnicze spory naukowe.

V ZJAZD LITERATÓW

W dniach 24 — 27 czerwiec 1950 obradował piąty (po wojnie) Zjazd Walny Związku Literatów Polskich. Doroczny zjazd statutowy jest okazją nie tylko do wyboru władz związkowych, lecz przede wszystkim — areną dyskusji zasadniczej, ustalającej ideowe i artystyczne oblicze naszej współczesnej literatury. Tegoroczny Zjazd Literatów pomyślany był szczególnie poważnie i znaczenie jego w rozwoju współczesnej literatury będzie zapewne bardzo doniosłe.

Po raz pierwszy po wojnie (przed wojną Zjazdu Związku Literatów miały zupełnie inny, wewnętrznie organizacyjny charakter, zresztą Związek przedwojenny był organizacją o małym autorytecie, wąsko zawodową) — Zjazd obradował w Warszawie, przez pierwsze dwa dni w sali Rady Państwa, przez następne dwa dni w własnym gmachu, w nowozbudowanym Domu Literatury na Placu Zamkowym.

Dwa — tym razem — poważne zadania stały przed Zjazdem: krytyczna ocena współczesnego dorobku literatury, przy czym ocena dotyczyła nie osiągnięć powojennych w ogóle, ale ostatniego półtora roku, oraz przebudowa struktury organizacyjnej Związku, to jest zmiana statutu. Dyskusja ideowo - artystyczna odbyła się przy obecności niemal wszystkich pisarzy warszawskich (w liczbie około 300) oraz (prócz 44 delegatów) kilkudziesięciu pisarzy zaproszonych z oddziałów prowincjonalnych.

Dyskusję krytyczną zagajały referaty Adama Ważyka i Stefana Żółkiewskiego; organizacyjną — referaty Leona Kruczkowskiego i Ewy Szelburg-Zarembiny. Dyskusja — w drugiej połowie zjazdu niezwykle ożywiona i szczerą — aż po ostatnie wypowiedzi dotyczyła spraw

poruszonych we wszystkich referatach.

Przewodniczącym Zjazdu był Kazimierz Wyka. W prezydium zasiadali: Andrzejewski, Broniewski, Brandys, Dąbrowska, Gałaj Gajawczyńska, Jastrun, Kowalska, Morstin, Nałkowska, Parandowska, Putrament, Rudnicki, Żółkiewski. Na otwarciu Zjazdu obecni byli przedstawiciele Rządu, Sejmu i KC PZPR. W imieniu rządu zjazd powitał Premier Józef Cyrankiewicz. Obecni byli delegacje pisarzy radzieckich (Surkow, Dmiterko), francuskich (Pozner, Tzara), czeskich (Drda), węgierskich, rumuńskich, brazylijskich (Jorge Amado), niemieckich amerykańskich.

Dyskusja krytyczna — początkowo niemrawa i ospała — potem wywołała szereg bardzo ciekawych i istotnych wypowiedzi, przy czym linia podziału, na tym zjeździe nie wystąpiła — jak było na czterech poprzednich — między zwolennikami marksistowskiego ujmowania zjawisk literackich, metody realizmu socjalistycznego z jednej strony a pisarzami reprezentującymi liberalny system ocen literackich (zjazd łódzki) czy katolicki (zjazd szczeciński). Poza wypowiedzią Zygmunta Lichniaka, zwracającego uwagę na wspólność walki o pokój i socjalizm, pisarzy marksistowskich i katolickich, mimo dzielącej ich różnic światopoglądowych, katolicki pisarz na tym zjeździe był, w charakterze dyskusyjnego, nieobecni. Spory zjazdowe toczyły w tym roku oceny twórczości poszczególnych pisarzy, pewnych rozdziałów między starszym i młodszym pokoleniem pisarzy, wreszcie próby orzeczenia czy obecny spadek ilościowy wydanych pozycji literackich jest ostatnim punktem kryzysu związanego ze zmianą treści i metod literackich, od którego rozpocznie się droga wzwyż czy też ten punkt nie został jeszcze osiągnięty. W zasadzie — pod tym względem — wypowiedzi sugerowały oceny raczej optymistyczne. Mówiono o kilkudziesięciu pozycjach powieściowych opracowywanych obecnie, o 25 dramatach współczesnych, nowych, jakie wejdą na scenę w czasie Festiwalu Dramatycznego. Przyszły Zjazd okaże czy trafna była ta ocena. Wypowiedź Melanii Kierczyńskiej ustaliła wyraźne zasady tzw. realizmu socjalistycznego. Dobrze było, by wypowiedź ta była opublikowana w „Twórczości“.

Dyskusja krytyczna utrudniona była przez wstępny referat Adama Ważyka, potraktowany nazbyt personalnie (dowcip zjazdowy orzekł, iż było to cenzurki przepuszczające do następnej klasy!) a za mało próbujący wydać jakąś ogólną diagnozę stanu naszej współczesnej literatury.

Zaznaczyć należy iż — nie po raz pierwszy czynią to pisarze — Zjazd niezwykle silnie zaatakował praktyki wydawnicze: anonimowość recenzji, przetrzymywanie maszynopisów, zbyt powolną pracę maszyny wydawniczej.

Jeżeli chodzi o drugie zadanie Zjazdu — dokonano pracy zmiany statutu, to jest właściwego oderwania Związku od jego dawnej bazy „zawodowej“ i uczynienia z niego Związku przede wszystkim „twórczego“. Zmiany „szczecińskie“ — usunięcie przymiotnika „zawodowy“ z nazwy — znalazły w uchwałach warszawskich pełną konsekwencję praktyczną. Gros zadań materialnej

podaje treść zeszytu w języku rosyjskim i angielskim.

Atlas wydawany jest przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze przy współpracy i subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Wydawnictwo zaprojektowane na około 60 zeszytów będzie stanowiło encyklopedię artystyczną strojów ludowych.

W przygotowaniu są stroje: rzemieślniczy wielkopolski, pyrzycki, łowicki i inne.

ZJAZD POLONISTÓW

Od 8 do 12 maja toczyły się w Warszawie obrady badaczy i teoretyków literatury, profesorów wyższych uczelni, krytyków literackich, działaczy oświatowych, oraz przedstawicieli młodzieży akademickiej zgrupowanej w kołach polonistycznych. Zjazd ten zorganizowany przez Instytut Badań Literackich oraz Tow. Literackie im. Adama Mickiewicza pomyślany był jako wstęp do Kongresu Nauki Polskiej. Przedtem w Krakowie odbył się analogiczny zjazd geologów.

Organizatorem Zjazdu był prof. Krzyżanowski Julian przewodniczący podsekcji badań literackich Kongresu Nauki Polskiej. Pięciodniowe obrady miały na celu rozwinięcie dotychczasowego dorobku badań naukowych na polu krytyki literackiej i historii literatury polskiej, ustalenie marksistowskiej metodologii badań, oraz omówienie wytycznych reorganizacji studiów polonistycznych. Zjazd zgromadził kilkuset obradujących. Pracował w czterech sekcjach: organizacji badań polonistycznych (przewodniczący K. Budzyk), dydaktyki języka polskiego w szkole (przew. E. Sawrymowicz), teorii literatury (przew. Mayenowa M. R.) i historii literatury (przew. T. Mikulski).

Rola Zjazdu będzie w naszym życiu uniwersyteckim i naukowym bardzo poważna. Reprezentując odmienny od marksistowskiego punkt widzenia na metodę badań nad literaturą (rzecznikami katolickiego punktu widzenia byli na zjeździe m. in. profesorowie Waclaw Borowy, Konrad Górski, Stefania Skwarczyńska i Juliusz Kleiner) zgłaszamy pod adresem wyników Zjazdu szereg istotnych zastrzeżeń. Poświęcimy im specjalny artykuł. W pełni da się jednak ocenić wyniki Zjazdu dopiero po ogłoszeniu materiałów, no i w praktyce badań literackich, która objawi się nam na długiej fali. Obok wydanego pierwszego tomu antologii okresu pozytywizmu, Zjazd jest drugim widocznym dla wszystkich osiągnięciem powołanego przed pół rokiem do życia Instytutu Badań Literackich.

KOMUNIKAT PRASOWY

Ostatnio ukazał się w druku następny numer „Atlasu Polskich Strojów Ludowych“, poświęcony strojom Dolnośląskiemu z Podgórze, a opracowany przez Doc. Drę Tadeusza Seweryna. Drugi zeszyt jak i pierwszy zawiera barwne plansze strojów ze Szklarskiej Poręby i z Jedlina, pędzla Jerzego Karolaka oraz materiały ilustracyjne począwszy od w. XIV. Zasięg jest ilustrowany mapą. Syntetyczne streszczenie

NOWOŚĆ

Ks. Prof. Eugeniusz Dąbrowski

PROBLEMAT CHRYSYSTUSA

we

współczesnej literaturze katolickiej

PALLOTINUM

Poznań

1950

Cena zł 200

KULTURALNY

O „Zielonym Gilu” recenzja nieco za długa

BEZSPORNA zdobyczą teatru Polski Ludowej jest to, że rozszerzył on znacznie horyzonty widowni przez śmiałe i odkrywcze sięganie do biblioteki dramaturgii światowej i to przez sięganie na te półki, na których tkwiły owinięte w pajęczynę niepamięci pozycje mało lub w ogóle dotychczas nam nieznane. Specjalnym uprzywilejowaniem cieszy się klasyczny teatr hiszpański, który, można to rzec bez przesady, teraz dopiero poznajemy w pełni. Wiemy już kto to jest Lope de Vega — kolej przysłała na jednego z jego następców (nie uczniów jak się to często zbyt pochopnie mawiać zwykło) na Gabriela Tellez, zakonnika piszącego pod pseudonimem Tirso de Molina.

Poprzedzona legendą szczecińskiego sukcesu komedia „Zielony Gil” trafiła na scenę warszawską. Nie po tej jednak komedii sędzić należy pisarstwo Tirso de Moliny. Pierwszą i zasadniczą zasługą opata, który w ciągu krótkiego czasu napisał około 400 komedii (taka to wówczas była wydajność dramaturgów), jest stworzenie pierwszej udramatyzowanej wersji o dziejach don Juana Tenorio, z którym mamy właśnie zaszczyt bliżej się poznać w Teatrze Polskim.

Do tej sprawy wrócimy, gdy przyjdzie pora na relację ze spektaklu molierowskiego — teraz wrócimy do przygód don Gilów.

Tirso de Molina był jak się rzekło zakonnikiem. Z tej prostej przyczy-

ny mało znał kobiety, dlatego też w twórczości swojej przez palce patrząc na mniejsze lub większe ich grzeszki stara się je idealizować wszystkimi brzydkimi cechami charakteru opatrując męską połowę rodzaju ludzkiego. Taką półpatozę dziełności i sprytu kobiecego jest historia o młodej dziewczynie donie Dianie, która w walce o zrodzającego ją kochanka pokonuje wiele przeszkód, by celu swego dopiąć w końcowej scenie. Treść komedii nie jest ani nowa ani zbyt frapująca. Taka już między innymi moda obowiązywała wówczas na przykład, by od czasu do czasu pokazać kobietę w spodniach, w ten sposób dodając jej odwagi i męstwa. Zrobił to Szekspir w „Wieczorze Trzech Króli”, czyni to i Tirso de Molina w „Zielonym Gilu”. Nie przebieg wydarzeń w miarę dziś dla nas naiwnych (inna rzecz że gdyby ta fabuła była zbyt serio, Tuwim nie wzięby jej na swój warsztat), decyduje o wydobywaniu z lamusa tej komedii. Niesie nam ona galerię typów społecznych, które, choć malowane na sposób tamtej epoki, nie zatraciły swego wyrazu.

Czy Tirso de Molina był rewolucjonistą? Czy chłostał biczem satyry (tak się to mówi) czy potępiał, czy walczył? Raczej nie. Prędzej

drwił sobie z otoczenia, prędeż chowając się za rozszyfrowany zresztą pseudonim, platał figle — ale i to było dużo, i to było odważnie jeśli przytomimy sobie na chwilę czas i miejsce działalności, jeśli postać opata klasztoru Soria widzimy będziemy w konkretnych warunkach społecznych i geograficz-

Za późno byłoby dziś wymagać od Tirso de Moliny spojrzenia na swój świat naszymi oczyma. Nikt też tego nie czyni. Po to mamy własne oczy, by nimi patrzeć na galerię sylwetek komedii i by z rysunku ich barwnego a trafnego wysnuć wnioski potrzebne nam do oceny tej odległej przyszłości. Nie przystępujemy jednak do tej czynności zbyt serio; misterny trud autora by dać widowni rozrywkę zagubi się w dysertacjach, które stosunkowo zbyt kruche miałyby podstawy.

Zastanawiał się ktoś nad tym ile w tym „Zielonym Gilu”, którego pokazuje nam Teatr Nowy jest z Tirso de Moliny, a ile z Tuwima. Wydaje mi się, iż człowiek, który taki problem stawia przed sobą nie potrzebuje się trudzić. Wystarczy zdać sobie sprawę z tego na czym polega w podobnym wypadku rola tłumacza. Nie idzie chyba prze-

cież tylko o rzemiosło, którego sprawność warunkowana jest wyłącznie znajomością języka.

Zamieszanie myślowe powstać by mogło (pozornie, pozornie), wówczas gdy ze sceny polskiej słyszymy wymianę słowa kielbasa, na ząb tenora. Przecież tego chyba nie ma w oryginalnym. Stąd podejrzenie, że więcej Tuwima niż Tirso de Moliny.

Nie wiem jakiego chwytu (w tym jednym wypadku sądzę, iż lepszego) użył Tirso de Molina. Na pewno innego — to nie ulega wątpliwości. Czy należy przeto sądzić, iż Tuwim postępował z tekstem oryginału zbyt swobodnie, że przekroczył swoje uprawnia? Taka postawa byłaby śmieszna.

Tirso de Molina — uczy nas o tym dość nikła niestety krytyka — był mistrzem słowa. Słynął z bogactwa języka, które to bogactwo rozrzutnie i wspaniałomyślnie darował widowni. Bawi się słowem jak żongler. Wszystkie te cechy pisarstwa Tirso de Moliny musiały podnieść Tuwima, który, co tu dużo gadać, jakkolwiek nie wstąpił do klasztoru, po tym właśnie spektaklu może być nazwany naszym Tirso de Molina. I dlatego słusznie głosi program, że „Zielony Gil”, to komedia Juliana Tuwima, napisana na kanwie „Don Gil de las calzas verdes” Tirso de Moliny.

Spektakl warszawski daleki jest od tej wartości, jak ma tuwimowskie opracowanie. Od błędów reżyserskich (Zbigniew Sawan) aż się roi, a z długiej listy wykonawców jedynie Mieczysław Borow (Caramanchel) zastępuje w pełni na szersze pozytywne omówienie.

Głównym błędem Sawana jest wydłużanie spektaklu przez niepotrzebne celebrowanie niektórych scen. Od bija się to zdecydowanie na temple spektaklu. Pozwala (niepotrzebnie) przedwcześnie zorientować się w nikłości fabuły, co rzecz jasna psuje całą zabawę. I właśnie reżysera trzeba obciążyć odpowiedzialnością za to, że większość zespołu postawiona w bardzo trudnych warunkach przedłużającej się statyczności, wbrew widocznym wysiłkom nie może sobie poradzić z rolami. Rozładowany został w zwolnieniach temperament aktorski Lidii Wysockiej — jest ona jak zwykle czarująca, pełna wdzięku, ale sprawia chwilami wrażenie nieco sennej, zmęczonej. Te same niepotrzebnie nałożone hamulce zaprzeczają pokazane tylko w pierwszym wejściu (kłótnia z narzeczoną) możliwości Krystyny Szner (Donna Inez), klasycznym przykładem sztucznego wyciągnięcia spektaklu do formatu sztuki pełnowieczorowej (to znaczy trwającej tradycyjnie dwie i pół godziny — kto i poco napisał takie prawo?). Jest chybiona pod każdym względem wstawka baletowa. Ani zespół nie ma danych by mógł wywiązać się z zadania (to było naprawdę bardzo źle), ani muzyka... ale to już oddzielny rozdział.

Marek Andrzejewski związał się już z teatrem na stałe. W ciągu krótkiego stosunkowo czasu „umuzyczył” „Męża i żonę” (poco?), „Bakę” Swiętłowa i „Don Gila”. Współpraca kompozytorów z teatrem jest celowa i potrzebna. Wymaga ona jednak poważnej nauki. Nie leży w granicach moich możliwości ocena pracy kompozytorskiej Marka An-

drzejewskiego — wydaje mi się jednak, iż po trzech dotychczasowych próbach da się już ustalić czy muzyka ta łączy się organicznie (a tak być powinno), ze sztuką wystawianą, czy nie. Myślę, że nie. Myślę, że Andrzejewski (nie tylko z własnej winy), fałszywie rozumie swą rolę w teatrze. Andrzejewski krocząc po trudnej i mało znanej drodze, szukając metod, których mu nikt nie wskazał, popełnia błędy dość zasadnicze, błąkając się między uproszczeniami, a nadmiernym filozofowaniem. Oto próbki tych punktów granicznych. Kiedy w „Zielonym Gilu” mowa o pieniądzach muzyka Andrzejewskiego podkreśla tekst dźwiękiem przypominającym brzęk rozsypywanego złota. Dosłowne tłumaczenie liter na nuty. Można by to od biedy przyjąć, gdyby za kilka chwil nie pojawiła się próba oryginalności, gdyby nie to, że ów nieszczęsny balet tańczyć ma w takt jakiejś stylizacji muzyki hiszpańskiej, stylizacji niepotrzebnej, a i z punktu widzenia muzycznego zdaje się błędnej.

Nie chcę zdolnego muzyka zniechęcać do dalszej pracy w tym kierunku. Wydaje mi się jednak, iż powinien on przestać liczyć na to, że w recenzjach teatralnych tak mało zwykle poświęca się miejsca muzycznej stronie spektaklu. Trzeba się uczyć. I muzyki i teatru.

Osiłoda spektaklu, który mógłby być naprawdę bardzo przyjemny była kreaacja (słowo wcale nie za wielkie) Mieczysława Borowego. Jego Caramanchel kłótni nie tylko dowcipem (to byłaby zasługa raczej autora), ale przede wszystkim życiem.

Najtrudniej jest zawsze podać motywy oceny pozytywnej. Można by to zrobić w ten sposób, że zaczęlibyśmy wyliczać jakich błędów nie popełnił Borowy. Wydaje mi się iż jest to metoda błędna. Borowego trzeba okłaskiwać przede wszystkim za potężną pasję, która siłnie trzymająca na wodzy umiejętności, wyprzedza każdą postać żarem życia nie rozsądzając jej jednak szarżowaniem. I to w rzemiośle aktorskim sztuka chyba największa. Umiejętność należytego dawkowania pasji twórczej wroży Borowemu wiele sukcesów.

Mieczysław Markowski

Ruch wydawniczy

Od 1946 roku ukazuje się czytelnikowskie wydawnictwo popularno-naukowe „Wiedza Powszechna” systematycznie powiększając swój zasięg i dorobek wydawniczy.

Dotąd ukazało się około 370 pozycji o łącznym nakładzie około 7,5 miliona egzemplarzy.

W tym roku wydawnictwo wprowadziło przy opracowaniu tematów dwa poziomy popularno-naukowe.

Pierwszy przeznaczony jest dla czytelników, mających co najmniej wykształcenie szkoły podstawowej, dla uczniów szkół, gimnazjów dla dorosłych i słuchaczy uniwersytetów robotniczych i ludowych, dla samouków, uczestników świetlic i kółek samokształceniowych.

Reklama na okładce każdego zeszytu głosi, że „wydawnictwo może służyć również czytelnikom posiadającym średnie wykształcenie, jako lektura o rzeczach zapomnianych a przecież ważnych, ciekawych i potrzebnych, nauczycielom wszystkich typów szkół, jako niezbędna lektura podręczna, studentom wyższych zakładów naukowych, jako lektura informacyjna, zastępująca notatki”.

Natomiast poziom niższy — „Biblioteka dla każdego” jest przeznaczona dla Czytelników, którzy nie mają ukończonej szkoły podstawowej, dla niedawnych jeszcze analfabetów i osób, które nie mają żadnego wykształcenia a tylko się „osłuchały”, coś nie coś wiedzą.

Plan wydawniczy „Wiedzy Powszechniej” przewiduje wydanie w tym roku około 210 pozycji. W tym na poziomie „pierwszym” 130, a na poziomie niższym 30. Poza tym wyjdzie 50 tomików ostatnio zainaugurowanego wydawnictwa „Dobra książka — informator dla wszystkich”, o którym niedawno na tym miejscu pisaliśmy.

Dotąd ukazało się dziewięć tomików tego pożytecznego wydawnictwa.

„Wiedza Powszechna” obejmuje 23 działy — rodzaje piśmiennictwa: historia, geografia, antropologia, nauka o literaturze, muzyka, teatr, kino i radio, sztuki plastyczne i architektura, ekonomia — zagadnienia gospodarcze, zagadnienia polityczno-społeczne, oświata i wychowanie, nauki matematyczne (fizyka i astronomia), nauki lekarskie, technika, biologia, gospodarstwo wiejskie.

Każdy z tych działów składa się z szeregu cykli, w skład których wchodzi znowu kilka zeszytów.

Ilość działów i cykli nie jest ograniczona a w miarę wzrostu zagadnień powstają nowe.

Plan wydawniczy „Wiedzy Powszechniej” charakteryzuje się tym, że omówione zagadnienia związane są z naszym 6-letnim planem socjalistycznej odbudowy i przebudowy kraju.

Wystarczy wskazać, że dział techniczny obejmuje około 50 tytułów, a w nim bogate cykle omawiają: górnictwo, metale, gazy, produkty chemiczne, historię wynalazków, podstawowe wiadomości z elektrotechniki. W dziale „Ekonomia” omówione zostanie zadanie planu 6-letniego w przemyśle, rolnictwie i energetyce.

Dział gospodarczy posiada kilka cykli: „Rolnictwo i leśnictwo w Polsce”, „Włókna przedziałne”, „Gospodarka planowa”, „Bogactwo kopalniane świata”. Dział „Biologia” dzieli się na „naukę o roślinach”, „naukę o zwierzętach”, „życie zwierząt w różnych środowiskach”, „ważniejsze szkodniki i choroby roślin”, „użyteczność zwierząt hodowlanych i dzikich”.

W dziale geograficznym znajdujemy cykle: „nauka o ziemi”, „ziemia polskie”.

Dział „Fizyka” omawia: „własności materii”, „fizykę atmosfery”, „ru-

chy i siły”, „elektryczność i magnetyzm”, „świat atomów”.

Bogaty dział „Sztuka” zajmuje się sztuką starogrecką (słynne prechadzki ateńskie), sztuką nowoczesną, malarstwem polskim, konserwacją dzieł sztuki.

Ostatnio zainaugurowano kilka nowych cykli: „Budownictwo”. Znajdujemy w nim zeszyty: „Jak powstaje dom” — Witelsa, „Stolarstwo budowlane” Janickiego i inne.

Cykl „Nowoczesne metody w budownictwie” obejmuje następujące tematy: „unowocześnienie metod wykonawczych w budownictwie” budowa szybkościowca.

W najbliższym czasie ukaze się cykl pt. „Niemcy demokratyczne”, z którego pierwszy zeszyt pt. „Jak powstała i czym jest Niemiecka Republika Demokratyczna”, napisany jest przez J. Kowalewskiego.

W „Bibliotece dla każdego” (poziom niższy tego wydawnictwa) ukaze się pierwsza broszura Ireny Merżan pt. „Nie ma złych dzieci”.

W dziedzinie popularyzacji wiedzy i nauki najtrudniejszym zadaniem jest dobór redaktorów i autorów i ten trudny problem wydawnictwo dobrze rozwiązało.

W „Wiedzy Powszechniej” redaktorami działów są zazwyczaj profesorowie wyższych uczelni, wybitni znawcy w danej dziedzinie, będący najlepszymi popularyzatorami. Natomiast autorami poszczególnych zeszytów są specjaliści z danej gałęzi wiedzy.

Warto tu wspomnieć, że około 80 zeszytów zostało zatwierdzonych przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego.

Przez duże nakłady (od 20.000 do 30.000 każdej pozycji) i przez przystępną cenę wydawnictwo oddaje ogromne usługi szerokim masom młodzieży dążącej do wiedzy

Stanisław Podlewski

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE

DO
ADMINISTRACJI
„DZIS I JUTRO”

SP. WYD. „PAX”
WYSYŁA POWIĘSĆ

BRUCE MARSHALL
CHWAŁA CORY
KROLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ
ZŁOTYCH 750 za EGZ.
NA KONTO PKO 1-8515

LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

Stara baba, ślepiec i diabeł

(dokończenie ze str. 6)

mężów do swego śniadania. Król odszedł do jednej z tylnych izb. Znamienici mężowie odeszli. Król był sam. Stara kobieta przebiegła przez szeń. Stara kobieta wbiegła do izby, w której siedział król. Stara kobieta rzuciła się na ziemię i krzyknęła — Królu! Królu! Królu! — Stara kobieta zawodziła i krzychała: — teraz zabijesz mnie na pewno! — Król rzekł: — dlaczego miałbym cie zabić? — Stara kobieta wrzasnęła: — zabijesz mnie ponieważ inni cię oszukują. — Król rzekł: — cóż to znowu? — Stara kobieta rozplakała się i rzekła: — cóż jestem temu winna, że syn jerimy ma cię za nic? — Król rzekł: — jak to ma mnie za nic? — Stara kobieta rzekła płacząc: — czyż syn jerimy nie mógłby uwodzić żon innych ludzi? Czyż syn jerimy nie mógłby przynajmniej oszczędzić tej ślicznej, młodej pani? Czyż syn jerimy musi przyzywać akurat tę śliczną, młodą panią, która jest ci najdroższą i którą sarzasz obok swej pierwszej żony? — Król rzekł: — stara kobieto, powiedz mi prawdę. Powiedz mi, czy widziałas moją piękną, młodą żonę z synem jerimy? — Król rzekł: — stara kobieto, powiedz mi prawdę! — Stara kobieta rzekła: — są w moim domu. — Król krzyknął: — kłamiesz! — Stara kobieta rzekła: — spójrż mam białe włosy; nie umiem kłamać; siedzą teraz w moim domu. — Król rzekł: — poślę z tobą wysłannika, który zbada sprawę. — Król zawezwał jednego z ludzi. Król rzekł do człowieka: — idź ze starą kobietą i zobacz czy to prawda, że syn jerimy uwodzi moją młodą żonę w jej domu. — Wysłannik wziął sztylet. Wysłannik poszedł ze starą kobietą.

Stara kobieta zaprowadziła wysłannika królewskiego do swego małego domku pod murem miejskim. W pewnym oddaleniu od domu stał człowiek jerimy. Wysłannik królewski podszedł do drzwi domu starej kobiety. Otworzył je. Wysłannik królewski ujrzał syna jerimy. Wysłannik królewski ujrzał piękną, młodą żonę króla. Ale piękna, młoda żona króla i syn jerimy nie spostrzegli wysłannika królewskiego. Widzieli tylko siebie nawzajem. Wysłannik królewski dobył sztyletu. Wysłannik królewski wbił sztylet w plecy syna jerimy. Krew trysnęła i spłynęła na ciało pięknej, młodej żony królewskiej. Młoda, piękna kobieta krzyk-

nęła. Syn jerimy rzekł: — to jest niedobra śmierć! — Syn jerimy nie żył.

Stara kobieta stała przed domem razem z człowiekiem jerimy. Syn jerimy rzekł: — to jest niedobra śmierć! — Człowiek jerimy usłyszał to. Człowiek jerimy wpadł do domu i zabił wysłannika królewskiego. Po tem zaplała się w porzucone szaty pięknej, młodej pani i upadł na ziemię. Stara kobieta pobiegła precz. Stara kobieta biegła przez miasto. Stara kobieta biegła tak szybko jak tylko mogła. Stara kobieta mówiła: — teraz wiatr niesie ogień na spichrze i zagrody ludzi. Nie pozostanie nic z tego miasta. — Stara kobieta biegła tak szybko jak tylko mogła.

Stara kobieta wbiegła do domu jerimy. Stara kobieta zawołała: — dlaczego koń twój nie osiodłany, jerimo? — Jerima odparł: — stara kobieto, czemu miałbym siodłać konia? — Stara rzekła: — chcesz więc walczyć pieszo w tej wojnie, jak prosty żołnierz? — Jerima rzekł: — któż niesie wojnę? — Stara kobieta rzekła: — kiedy król pragnął zburzyć obce miasto, jechał na czele i był pierwszy. Teraz, kiedy król kazał zabić twego syna, wylegujesz się na macie. — Jerima skoczył na równe nogi. Stara kobieta rzekła: — czyż ten syn nie był twoim jedynym synem? — Jerima krzyknął: — siodłać mi konia! Siodłać mi konia!

Stara kobieta wybiegła z domu. Stara kobieta biegła przez ulice. Stara kobieta biegła tak szybko, jak tylko mogła. Stara kobieta mówiła: — teraz wiatr niesie ogień na spichrze i zagrody ludzi. Nie pozostanie nic z tego miasta. Stara kobieta biegła tak szybko, jak tylko mogła.

Stara kobieta przybiegła do domu króla. Stara kobieta krzyknęła w sali królewskiej: — Królu! Królu! Królu! Siodłać twego konia! — Król rzekł: — cóż się stało? — Stara kobieta krzychała: — Królu, jesteście jeszcze, czy też nie ma cię, królu! Jerima kazał zabić twego posłańca. Jedzie tu konno! Jedzie przez miasto ze swymi jeźdźcami! — Król zawołał: — szukajcie grób dla króla! — Stara kobieta wybiegła z domu. Stara kobieta mówiła: — dorzucę jeszcze drzewa i suchej trawy do ognia. — Stara kobieta biegła tak szybko, jak tylko mogła.

Stara kobieta przybiegła do miejsca, gdzie przebywali żebracy i zło-

dzieje. Stara kobieta zwołała żebraków i złodziei. Stara kobieta rzekła: — kiedy wielkie zwierzęta pozabijają się nawzajem, robactwo zjada ich padlinę. — Zebracy i złodzieje rzekli: — cóż się takiego stało? — Stara kobieta rzekła: — słuchajcie bicia bębnow. Słyszycie tętent jeźdźców? Król i jerima rozpoczęli wojnę. Wszyscy mężczyźni są na ulicach. — Zebracy i złodzieje rzekli: — nie naszą rzeczą jest wojować. Niech inni wojują. Cóż my mamy tu do roboty? — Stara kobieta rzekła: — wszyscy mężczyźni są na ulicach. Nikt nie pilnuje domów. Idźcie tam i sam. Podpalajcie domy. Kradnijcie odzież i perły, srebro i złoto. — Zebracy i złodzieje rzekli: — to prawda. Uczynimy tak. — Stara kobieta rzekła: — jakie kobiety macie teraz? Jakie kobiety możecie dzisiaj mieć? Wszyscy mężczyźni są na ulicach. Rzucajcie ich młode córki i żony na ziemię! Są lepsze niż karua! — Zebracy i złodzieje rozbiegli się.

Zebracy i złodzieje rozbiegli się. Wszyscy mężczyźni biegli z bronią po ulicach. Bębny były. Jeźdźcy spinali konie ostrogami. Jerima zebrał swoich ludzi i ciągnął z nimi do dzielnicy królewskiej. Król zebrał swoich ludzi i prowadził ich do domu jerimy. Jeźdźcy pędzili przeciwko sobie. Jerima krzychał: — kazałeś zabić mego jedynego syna! — Król krzychał: — twój syn uwiódł moją piękną, młodą żonę! — Król i jerima następowali na siebie z wysoko podniesionymi mieczami. Król i jerima starli się. Król i jerima spadli z konia. Król i jerima legli zabić.

Ludzie królewscy krzycheli. Ludzie jerimy krzycheli. Niektórzy biegli tam inni tam. Zabijano się tu, walczone tam. Niektórzy kluli; oszczepami, inni tłukli maczugami. Niektórzy wypuszczali strzały, inni rzucali kamieniami. Kobiety uciekały do domów by ukryć dzieci. Dziewczęta uciekały do spichrzów i chroniły się w nich gromadnie. Zebracy i złodzieje biegli po mieście. Zebracy i złodzieje podpalali tu spichrz, tam dom. Kobiety lkały. Dzieci krzychały. Zebracy i złodzieje wpadali do domów. Niektórzy kradli, inni gwałcili dziewczęta. Mężczyźni na ulicach rzucali się wzajemnie na siebie, by ratować swoje mienie. Zewsząd buchał ogień. Dzieci padały martwe od strzał. Konie tratowały kobiety. Wielu ludzi spłonęło żywcem.

Domy i spichrze płonęły i obracały się w popiół. Mężczyźni, kobiety i dzieci ginęli. Ściany z siana (mat) krzychały w ogniu. Kobiety krzychały na ulicach. Kto zdołał coś unieść, uciekał z miasta. Na ulicach leżały trupy. Po podwórzach skakały języki płomieni. Zebracy i złodzieje wynosili ze zgliszcz co tylko mogli znaleźć. Kto tylko mógł biegać, uciekał przez bramę miejską do buszu.

Na murze miejskim (birni) ponad bramą stała stara kobieta. Stara kobieta tańczyła. Stara kobieta śpiewała. Stara kobieta śpiewała tak: — od czasu gdy byłam dziewczyną, nie wytańczyłam się więcej. Od czasu gdy byłam dziewczyną, nie naśpiewałam się więcej. Dziś będę królem miasta, a kurra (hiena) i angulu (sęp) będą przede mną padać na twarz i będą wołać: „Królu! Kró-

lu! Królu!” Będą dziękować mi za żer, który sprawiam im w tym ogniu. Będą dziękować mi za kości. Chodź tu i zobacz, co stara baba potrafi! Kai! Iblis! Czyż nie przewyższyłam ciebie? — Diabeł przybył. Diabeł wspinał się na mur. Diabeł przyjrzał się miastu. Diabeł ujrzał trupy i zgłiszcza domów. W środku miasta król i jerima leżeli martwi koło siebie. W mieście nie było już ani jednego człowieka. Hieny podkładały się z buszu. Sępy unosiły się wśród dymu w powietrzu. Diabeł ujrzał to wszystko. Diabeł rzekł: — cóż to? Ty sama jedna, stara kobieta zdziałałaś to wszystko przez jeden dzień? Jeżeliś to zrobiła, cóż uczynisz jutro? — Diabeł przestraszył się starej kobiety. Diabeł zeskoczył z muru. Diabeł upadł się w ziemię. Stara kobieta nie ujrzała go więcej. Słońce zaszło.

Stara kobieta tańczyła na murze miejskim ponad bramą. Miasto pło-

nęło. Ludzie albo uciekli, albo leżeli wokół martwi. Stara kobieta tańczyła i śpiewała: — kai! Iblis! Chodź tu i zobacz, co stara baba potrafi! Kai! Iblis! Czyż nie przewyższyłam ciebie? — Diabeł przybył.

Diabeł wspinał się na mur. Diabeł przyjrzał się miastu. Diabeł ujrzał trupy i zgłiszcza domów. W środku miasta król i jerima leżeli martwi koło siebie. W mieście nie było już ani jednego człowieka. Hieny podkładały się z buszu. Sępy unosiły się wśród dymu w powietrzu.

Diabeł ujrzał to wszystko. Diabeł rzekł: — cóż to? Ty sama jedna, stara kobieta zdziałałaś to wszystko przez jeden dzień? Jeżeliś to zrobiła, cóż uczynisz jutro? — Diabeł przestraszył się starej kobiety. Diabeł zeskoczył z muru. Diabeł upadł się w ziemię. Stara kobieta nie ujrzała go więcej. Słońce zaszło.

Jan Józef Szczepański

Sine ira

DOWCIPNIE,
ALE NIE PRAWDZIWIE

Jeden z dowcipników ostatniej strony „Tygodnika Powszechnego”, podpisany „zet.”, odmówił wartości realistycznej obrazowi Krajewskiego, na którym ma być, (bo nie widziałem podobizny tego obrazu), przedstawiona dziewczyna bosa z rydłem w ręku. Według p. zet. nie można boso kopać rydłem. Nie można też, twierdzi dalej ów znawca wiejskich stosunków, podawać na bosaka snopków przy żniwie. Ba, jest on jeszcze bardziej radykalny, a nawet krańcowy w swych poglądach, bo wyraźnie uznaje chodzenie boso za bezpowrotnie minioną formę życia.

Nie zna p. zet. ani teorii kopania rydłem, ani praktyki chodzenia boso, ani obyczajów przy żwózce zboża. Ja sam u siebie w Wesołej kopię ogród na bosaka i nic mi się nie stało nigdy. Nawet nie potrzebuję naciskać na rydel, bo ziemia u nas mięka, ba, co tu ukrywać — piach!

Sprostowanie

W „Tygodniku Kulturalnym” nr 24 zeszłego pisma zdarzyła się przykra pomyłka druku, która zniekształciła sens jednego zdania w notatce o zgonie Sangnier’a. Poniżej podajemy cały tekst notatki w brzmieniu właściwym:

„ZGON SANGNIER’A

W maju br. w Paryżu zmarł w wieku 77 lat Marc Sangnier — jedna z najwybitniejszych postaci francuskiego katolicyzmu. Zmarły działacz był inicjatorem organizacji „Sillon” (założonej przez niego w r. 1894), która, jako pierwsza tego rodzaju we współczesnym katolicyzmie, dążyła do pogodzenia katolicyzmu z nowoczesnymi ruchami społecznymi, do autoryzowania przez Kościół i katolików — radykalnych ideałów społecznych. „Sillon” („Bruzda”) i sformułowania Sangnier’a wywołały jednak takie oburzenie w ówczesnym świecie katolickim, że znano, iż została przekroczona gra-

Od tego właśnie zależy użycie rydła. Tam zaś, gdzie ziemia jest tak twarda, że aż trzeba na rydło stawiać kilofa (czy oskarda, nie wiem, jak lepiej po polsku). A na rydło można też boso stanąć bez krzywdy, bo górna część rydła jest zakrzywiona, obojędnie się więc bez skałczenia. Nieraz kopałem boso i w różnych glebach.

Chciałbym też mieć tyle złotych, ile podałem w swym życiu snopków na bosaka. I teraz założę się z p. zet. o każdą (byłe dość wielką) sumę, że podam na bosaka z najtwardszego np. pszennego rżyska każdą ilość snopków i nie zostaną w tyle za innymi. Ze czasem się w szparę skałczę? Kto chodzi boso, ten zawsze ma jakies zadrapania, ale na to nie patrzy.

P. zet. należy widocznie do tych modnisiów, którzy chodzą bez czapki, ale w butach. Ja odwrotnie, bo więcej szanuję głowę, niż nogi.

Z. Jak.

Rozmowa o ubóstwie

(dokończenie ze str. 9)

Użyliśmy tu wielu ostrych słów. Trudno jest czasem na fałsz reagować grzecznymi i okrągłymi zwrotami. Tym więcej jeśli ten fałsz jeszcze bardziej boli przez to, że pochodzi z ust z których mamy prawo słyszeć najmniejszy obraz prawdy.

Świat stoi dziś w godzinie roztrzygnięć — napisał autor. W godzinie roztrzygnięć stoi też jego własny kraj, który musi wybrać moralną drogę swego własnego życia i rozwoju. Artykuł „Petrusblattu” każe z głęboką troską spoglądać na postawę społeczną kat-

lików niemieckich. Pragniemy wśród nich widzieć ośrodku myśli społecznej twórczej i postępowej. Pragniemy widzieć w ich kraju społeczne i religijne odrodzenie. Dlatego chcemy aby ten głos dotarł do redakcji Petrusblattu, do katolików niemieckich i wpłynął na zrozumienie faktu, że nie tędy droga.

Dla polskiego czytelnika przedrukowany artykuł tych nie stanowi ostrzeżenie przed wypaczeniem sensu tego co nam wszystkim jest najbardziej drogim. Tego co nas wszystkich ożywia — naszej wiary.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr I-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków godz. 12 — 13

Druk Skolimowska 5

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 90 złotych Kwartalna 180 złotych

B-114731